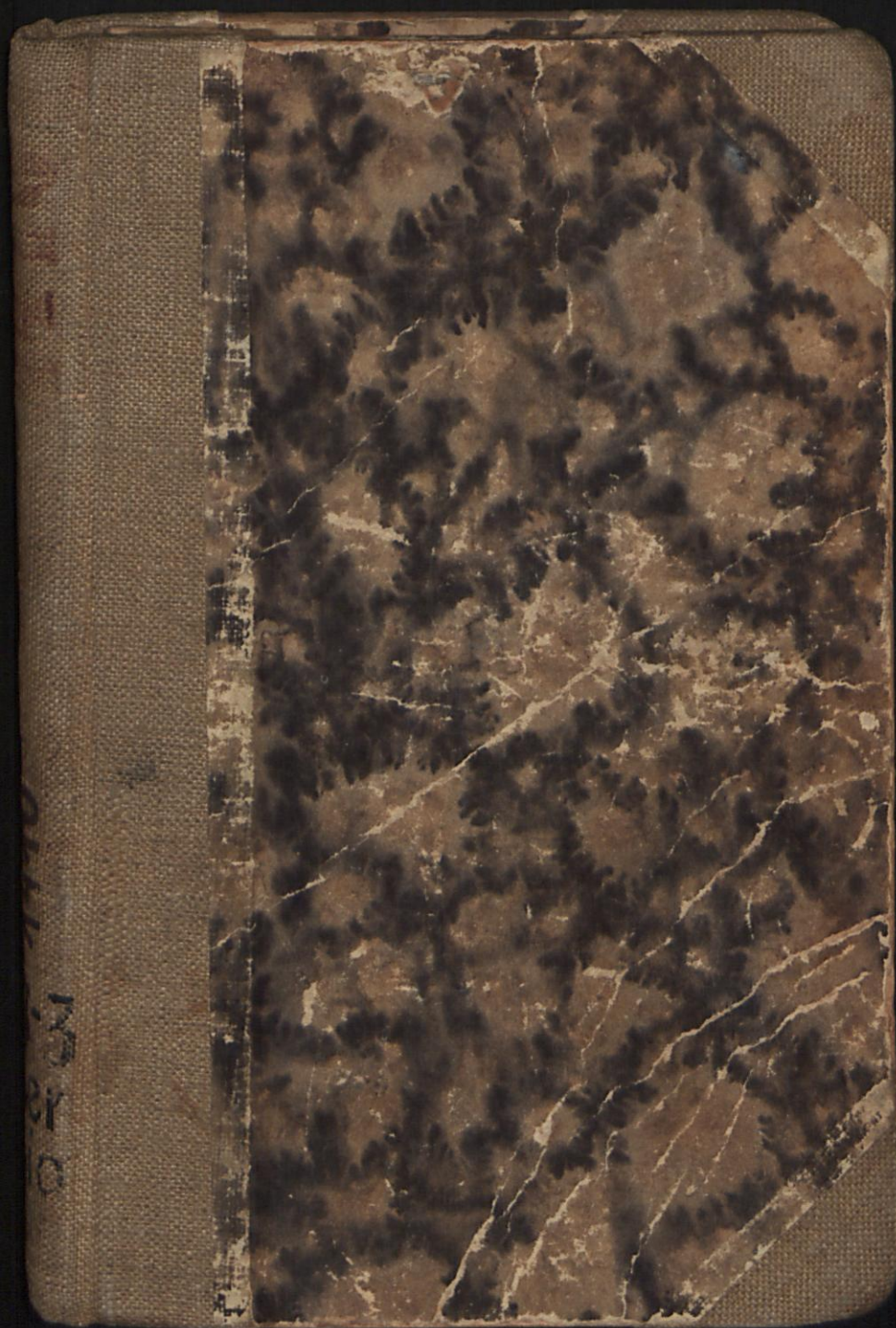




7103

Wp

M A T Y L D A S E R A O

SIÓSTRA JOANNA
OD KRZYŻA

POWIEŚĆ

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. JANA ZAMOYSKIEGO
w Zamościu.

WARSZAWA

NAKŁADEM KSIĘGARNI K. WOJNARA I SPÓŁKI

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Miejskiej Rady Narodowej
w Zamościu

1410

11 S⁴

8-3 850-3

Ser

Siostr

1410

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. JANA ZAMOYSKIEGO
w Zamościu.

Siostry Joanna od kryn

Księgozbiór BP



10025715

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

dli na mnie niepokoję
cichych murów mię wyrwali;
em odtąd było życie moje.

wniej doznała niełaski.
a, jej też ludzie śmieli
skroni cień świętej przepaski.

Lecz chociaż na świat wywlekli ją z celi
i wbrew jej ślubom, welon zdarli z twarzy,
Z serca jej zasłon, raz wziętych, nie zdjęli.

Dante. Raj. Pieśń III.

(Przekład Porębowicza)

I

Wybiła godzina piąta. Ciężkie drzwi z rzeźbio-
nego, ciemnego drzewa otwarły się z trzaskiem, pchnię-
te chudemi rękami siostry Gertrudy od Siedmiu Ran,
która otworzyła i drugą połowę i oparła ją powoli
o ścianę. Przeszła szybkim krokiem cały chór, cho-
wając zwykłym ruchem ręce w szerokich rękawach
swej czarnej, wełnianej sukni i uklękła za gęstą kratą
chóru. Z góry, z wielkiej wysokości, rzuciła niespo-
kojne spojrzenie na kościół Świętej Urszuli, tonący
w zmroku, z oknami zasłoniętymi. W kościele nie
było nikogo. Chór był wysoko umieszczony w po-

ziomie drugiego rzędu okien kościoła, zamknięty z trzech stron ścianą metalową, dziwnie dziurkowaną, że nie pozwalał nic zobaczyć wiernym, którzyby zechcieli przez ciekawość uchwycić choć cień jednej z Trzydziestu trzech; podczas kiedy same siostry, które nosiły z pokorą i głębokiem posłuszeństwem, ale i z mistyczną dumą drogie im imię Żywce Pochowanych, mogły zaledwie z góry spostrzedz, jak wchodziły istoty ludzkie, siadały, klękały, modliły się tam w dole, gdzieś około głównego ołtarza i dwóch naw bocznych, sąsiadujących z nawą główną. Siostra Gertruda oparta czołem o kraty, z przymkniętymi oczami, zgarbiona trochę i wąła, miała na czole opaskę z białego płótna, na piersiach biały kołnierzyk, na suknię spadał czarny welon, z tyłu zaś, według przepisu, spadał płaszcz czarny wełniany. Modliła się w duchu. W pewnej chwili pierś jej podniosło westchnienie. Znalazło ono oddźwięk, gdyż obok niej niepostrzeżenie wsunęła się za kratę, by się ukorzyć, inna z Trzydziestu trzech, siostra Klementyna od Cierni, mała drobna zakonnica, w czarnej sukni, czarnym płaszczu, czarnym welonie i białej opasce. Powoli, powoli, cichymi krokami znalazły się na chórze inne siostry, w czarnych welonach. Przybyły tu, by uklęknąć przed kratą i zrobić znak krzyża.

Było ich czternaście. Nie zamieniły ze sobą ani słowa; tylko od czasu do czasu pomiędzy jednym pacierzem a drugim wydobywało się z pod któregoś welonu bolesne westchnienie.

Później, w drzwiach chóru ukazała się inna zakonnica; musiała być bardzo stara, pochylona, prawie złamana we dwoje, oparta na ramieniu drugiej, która ją prowadziła ostrożnie, stosując swoje kroki do chodu staruszki. Przybyła, po za zwykłym strojem, nosiła na szerokiej jedwabnej, czarnej wstędze krzyż srebrny; na chudej, kościstej, zmarszczonej ręce o żółtawej skórze widniał na czwartym palcu srebrny pierścień z wrytym napisem: przeorysza. Przeorysza nie uklękła przed kratą chóru, zatrzymała się cokolwiek za zakonnicami i drżąc, chwiejnie opuściła się na klęcznik z drzewa, ozdobiony poduszką z ciemno-czerwonego aksamitu. Zakonnica, która ją przyprowadziła, cofnęła się na koniec chóru, dwie inne zakonnice zbliżyły się do niej, i stanęły na progu nie wchodząc. Te trzy nie miały ani płaszcza, ani welonu czarnego. Na białej opasce nosiły kaptur z czarnej wełny, ułożony w szerokie fałdy. Były to trzy siostrzyczki, które jeszcze nie złożyły ostatnich surowych ślubów kościelnych Trzydziestu trzech żywcem pogrzebanych; miały jeszcze twarze odkryte i suknie bez wielkich płaszczów.

Modlitwy wieczorne, odbywane w tej chwili przez czternaście zakonnic i przeoryszę, trwały długo, już noc zapadła, gdy je skończyły. Jedna z siostrzyczek zapaliła lampę i kilka świeczników na konsolach. Cienie się rozrzedziły. Ostrożnym chodem rozeszły się mniszki, by zająć miejsca w stalli chóru. Każda, przechodząc, przychyliła się, by ucałować rękę i pier-

ścien przeoryszy, jedna, siostra Joanna od Krzyża wsparła przez chwilę czoło na zmarszczonej ręce przeoryszy i może przemówiła coś do niej. Później i ona, krokiem drobniejszym, podeszła do swej stali z ciemnego drzewa, gdzie znikła w cieniu i czekała.

Teraz sama przeorysza podniosła się z klęcznika i usiadła w środku chóru na wysokim krześle z czarnego drzewa. Milcząc, schowana w swym welonie czarnym, patrzała na lewo i prawo na trzydzieści trzy stalle chóru. Kiedyś wszystkie stalle były zajęte przez trzydzieści trzy siostry. Były to siostry żywcem pogrzebane, było ich tyle, ile lat liczył Chrystus. Dumne były, że są w komplecie. Czas płynął. Siostra Teresa od Jezusa, przeorysza, która przybrała imię wielkiej Zakonnicy z Aosti, była bardzo stara a czas płynął, płynął! Z Trzydziestu trzech powoli śmierć uszczupliła liczbę, a żadna istota żeńska nie ośmieliła się złożyć przerażającej przysięgi. Nawet adeptki, których wedle reguły powinno być siedem, tyle, ile ran Matki Boskiej, były ledwie trzy lub cztery, żadna nie mogła wytrzymać takiego życia i prosiła o zwolnienie przed ostatniem zaprzysiężeniem. Ile lat ubiegło świętych od czasu, gdy siostra Teresa Serca Jezusowego złożyła ślub? Może sześćdziesiąt nie pomyślała dobrze, nie pomyślała też, od ilu lat była przeoryszą, może od lat czterdziestu. Miała ich obecnie siedemdziesiąt pięć i widziała, jak znikwały stopniowo jedna po drugiej, chowane na małym cmentarzu siostry Urszuli, założycielki Zakonn

Patrzyła na pozostałe, liczyła je bezwiednie, wiedziała dobrze, że jest ich zaledwie czternaście, wszystkie stare. Choć nie tak stare jak ona. Myśl jakaś przebiegła przez głowę, zadrżały zmęczone, stare nerwy, i głębokie westchnienie wydobyło się z piersi. A u stali z onych nisz czarnych, gdzie cienie sióstr widniały w ciemności, inne westchnienia głębokie, smutne, rozdzierające odpowiadały przeoryszy. „Niech Pan nam dopomoże“, wyrzekła głosem mocnym bezdźwięcznym. „Niechaj tak się stanie, tak się stanie, tak stanie“, odpowiadały głosy ze stali.

Nastąpiło milczenie. Wszedł do chóru ksiądz, wprowadzony przez siostrzyczkę. Zrobił się gwałtowny ruch wśród mniszek, jakby przerażone, wszystkie jednakowo ściągnęły czarne płaszcze i poprawiły welony na twarzy. Ksiądz był stary także, miał twarz różową, dobroduszną, włosy bielutkie, śnieżne. Przeorysza usiłowała podnieść się na jego spotkanie, lecz dał jej znak, by się nie ruszała. Ksiądz Ferdynand de Augelis był od przeszło lat dwudziestu spowiednikiem Trzydziestu trzech. Mimo to dopiero po raz drugi, po za kłauzurą wchodził do klasztoru z rozkazu kardynała arcybiskupa. Twarz jego, zwykle pogodna, nie zapowiadała dobrych wieści.

— Jakie, ojcie kochany, jakie przynosisz nam wiadomości?—zapytała ze drzeniem w głosie, siostra Teresa.

Nie odpowiedział odrazu. Czuł zwrócone ku sobie spojrzenie gorące czternastu stali, wyczekujące je-

go zdania. Nie miał nic dobrego do powiedzenia. Pochylił głowę w milczeniu.

— A więc już niema żadnej nadziei?—spytała stara przeorysza, wahajaco, jakby pod wpływem siły wewnętrznej. Ksiądz pochylił głowę, milcząc zawsze. Niektóre mniszki podniosły się również i przysunęły nieco w niepokoju.—Żadnej nadziei, ojcze, żadnej,—krzyknęła siostra Teresa głosem, jakiego nie miała już od lat wielu.

— Ofiarujmy Bogu tę mękę, — szepnął ksiądz, zawsze z głową spuszczoną. Ale imię Pana wymówione w tej chwili nie mogło wstrzymać wybuchu łkań zakonnice. Te, które stały, opadły na siedzenia łkając, inne rzuciły się głową na dół na poręcz stali, tłumiąc głos o twarde drzewo. Z jękami mniej lub więcej głośnie mi płakały wszystkie. Za gęstą zasłoną głowa przeoryszy drżała konwulsyjnie w płaczu. Ksiądz wśród chóru, przy mdłym świetle lampy i lichtarzy stał wystraszony i zbolący.

— Płaczmy, płaczmy—rzekła cicho.—Boleść jest wielka, ale znieście ją jak prawdziwe chrześcijanki.—Przyczem wstała ze swego siedzenia i zbliżyła się do księdza. Wtedy wszystkie mniszki opuściły swe stalle, otoczyły ją płacząc, biorąc jej ręce, całując je, —O matko droga, matko droga, matko nasza, co będziemy robiły, jak będziemy żyły, co uczynimy — mówiły jednocześnie głosem rozpaczonym, który przybierał dźwięki tragiczne lub naiwne. Biedna stara przeorysza w pośród swych czternastu mniszek wydawała

się obecnie bardziej zgnębiona, bardziej zmęczona i rozbita, niż kiedybądź. Może myślała w tej chwili: o ile by lepiej było dla niej umrzeć, niż doczekać godziny niespodziewanej i strasznej. Ale nie powiedziała tego, bo jej się to wydawało grzechem.

— Jego Eminencja—szepnęła, zwracając się do spowiednika—nie mógł nic zrobić dla nas?

— Jego Eminencja robił, co mógł—odrzekł ksiądz ze smutkiem—pojechał umyślnie do Rzymu, aby...

— Bez powodzenia?

— Zupełnie, droga matko.

I znowu długi jęk obudził echa chóru: mniszki płakały i żaliły się na los nieubłagany.

— Ale papież, papież... — zawołała przeorysza w wysokim uwielbieniu — Ojciec Święty. Czy nie mógł on ująć się za nami?

— Nie mógł nic przeprowadzić. Prawo wydane jest jasne—odrzekł biedny ksiądz, zmuszony, mimowolnie, zmniejszyć powagę Głowy Kościoła przed zakonnicami.

— Co za prawo, co za prawo! — zawołała żywo jedna z mniszek, siostra Joanna od Krzyża. — Nasze prawo każe nam żyć i umierać tutaj.

Mówiła z uniesieniem w głosie. Była jedną z młodszych wśród staruszek, nie miała jeszcze lat sześćdziesięciu, trzymała się prosto i wyniośle. Matka przełożona dała jej ręką znak, by zamilkła.

— Papież... Papież... — rzekła znów przeorysza, wracając do swych myśli o wybawieniu.

— Przecież sam jest uciśniony i biedny — odrzekł z rozpaczą ksiądz.

Głębokie milczenie.

— Więc będziemy zmuszone odejść? — spytała, po pewnej chwili, z bólem, przełożona.

— Tak, koniecznie, droga matko.

— Jesteśmy takie stare — dodała głosem cichym. — Mogli nam dać umrzeć tutaj...

— Umrzeć, umrzeć tutaj! — zawołały, ze łkaniem, mniszki.

— Spory przewlekano, jak można było najdłużej — rzekł stary ksiądz — poruszono wszystko, co się dało. Teraz...

— ...Musimy odejść. Jabym już nie pożyła długo — powtórzyła biedna staruszka, wracając, jak wszystkie istoty proste, do myśli prostej.

— Podobало się Panu Bogu zesłać na Was, droga matko i na wszystkie siostry tę boleść, znieść ją trzeba!

— A cóż pocniemy, ojcze? Dokąd pójdziemy? — Niestety, nie miał nic do ofiarowania biedaczkom, wygnanym z klasztoru.

— Dokądże pójdziemy? — spytały, płacząc, siostry.

— Zobaczmy, zobaczmy... odrzekł dobry ksiądz, zakłopotany.

— Może do innego klasztoru, ojcze, może do innego. Czy jest nadzieja?

— Nie spodziewajcie się. Rząd nie pozwoliłby — odrzekł stanowczo, chcąc je przygotować na odmowę.

— Więc dokąd pójdziemy? Gdzie się udamy?

— Do Waszych rodzin, do Waszych domów — szepnął, wnikając w całe nieszczęście wygnanek.

— Domem naszym, rodziną naszą, był ten klasztor — rzekła, z boleścią, siostra Joanna od Krzyża.

Przeorysza raz jeszcze dała jej znak, by milczała.

Przy jej słowach, wyrażających całą bolesną tragedję tych istot, zaraz rozległy się jęki mniszek. Rozstały się one ze światem przed trzydziestu, czterdziestu, pięćdziesięciu laty na zawsze, ślubowały ubóstwo, czystość, posłuszeństwo i wieczne zamknięcie, przysięgły i dochowały prawie aż do śmierci swoje śluby. Obecnie je łamały.

— Popelnimy grzech śmiertelny — rzekła, ze zgrozą, przeorysza.

— Bóg jest dobry, matko.

— Kto łamie przysięgę, grzeszy śmiertelnie...

— Bóg tyle przebaczył, matko!

— Tak, ale będziemy grzesznicami.

— Pomówię o tem z Jego Eminencją. On Wam przyśle słowo pociechy. Zanadto jest zmartwiony, by przyjść sam, przyjdę ja... jutro wieczorem... — szepnął w dobroci serca.

Znowu cisza. Potem siostra Teresa od Jezusa, rzekła powoli:

— Powiadacie, jutro wieczorem. To znaczy, że musimy wyjść natychmiast?

Biedny ksiądz nie odpowiedział odrazu, pomimo swego braku inteligencji, zrozumiał, iż jest to cios ostateczny. Wreszcie zdecydował się.

— Pojutrze, w poniedziałek.

Przeorysza zachwiała się i padła w objęcia jednej z sióstr. Gdy ją wyprowadzano, ksiądz pożegnał i pobłogosławił szlochającą gromadę.

Celę siostry Joanny od Krzyża oświetlało małe, nocne światelko, pełgające w szklaneczce z olejem. Była to lampka z pod krucyfiksu, która tliła się dniem i nocą na cześć Krzyża i Męki Pańskiej. Reguła zabrania siostrom palić światło, powinny rozbierać się po ciemku, a odziewać przy brzasku porannym. Jedynie małe światelko przed krucyfiksem mogło rozpraszać ciemności. Siostra Joanna nie mogła spać bez tego małego płomyka. Nieraz, w nocy, światło gasło, wtedy siostra budziła się zalekniona. W celi, której ściany pokrywały obrazki święte i gałązki oliwek święconych, stało tylko łóżko, krzesło i mały kuferek. Ściany były bielone wapnem, podłoga z zimnej i zakurzonej cegły czerwonej, jak w najbiedniejszych domach neapolitańskich. Nawprost łóżka był balkonik; celka mieściła się we wschodnim skrzydle klasztoru Św. Urszuli, na drugim piętrze, więc siostra miała wspaniałą panoramę Neapolu i jego zatoki, którą przesłaniały korony drzew. W pierwszych czasach swego zamknięcia—siostra Joanna wciąż oglądała tę zaporę, nie mogąc oprzeć się pragnieniu ujżenia, raz

jeszcze z odległości, widoku miasta. Spowiadała się z tej pokusy, jak z grzechu, było to bowiem grzechem. Daleki widok Neapolu przypominał jej życie świeckie. Powoli, powoli z biegiem lat, które mijały z niknącą młodością, z zatraceniem pamięci, zwyciężyła pokusę. Teraz, ów widok na Neapol nie istniał, ani dla serca, ani dla oczu. Noc była księżycowa; przechodząc przez długie wirydarze, widziała niebo jasne i białe mury klasztorne, w świetle tem jeszcze bielsze. Zamknawszy drzwi swojej celki, nie zasuwał rygla, gdyż nie pozwalała na to reguła, siostra Joanna padła na kolana przed swoim krzesłem jak zwykle, wyciągając ramiona do krucyfiksu. Usta jej szeptały wyrazy znane, duszę pochłoneła modlitwa namiętna, gwałtowna.

Od wielu lat siostra Joanna zapomniała o swoim istnieniu przedklasztornem. Tryb życia Trzydziestu trzech, początkowo gniotący, nieznosny dla usposobienia gwałtownego jak jej, ostatecznie poskromił tę duszę buntującą się, krew zbyt gorącą. Siostra Joanna od Krzyża cierpiała bardzo po złożeniu ślubów, płakała ze złości, z nudów, z żalu, z tęsknoty przez długi czas, ale najwyższa pociecha spłynęła wreszcie na nią po przez ciągle uniesienie modlitewne, przez formułki wiecznie powtarzane, które niszczą wolę i wiążą życie jakby mocnym łańcuchem. Reguła Trzydziestu trzech żywcem pogrzebanych surowa, twarda i nieublagana, stała się dla niej miłą, spełniała wszystkie jej przepisy posłusznie, nawet z rozculeniem.

Siostra Joanna była w swem życiu świeckiem istotą żywą, skora do entuzjazmu, do łez i złości, a tutaj... Tutaj już nie była kobietą, była tylko zakonnicą, żywcem pogrzebaną.

Jak się nazywała kiedyś?

Nie pamiętała.

Znała tylko swoje imię klasztorne, imię wzięte na cześć Pana i Jego cierpienia.

Tego wieczoru siostra Joanna nie mogła się modlić. Wśród niepewności śmiertelnej, wytracona z naturalnego biegu myśli i uczuć, wspominała szczegóły żywe, dawno zapomniane.

Ukryła twarz w rękach, jak gdyby chciała się obronić przed wspomnieniami.

Nazywała się kiedyś w życiu Luiza Bevilacqua. Należała do rodziny mieszczańskiej, zamożnej.

Rodzice jej mieli hurtownię towarów łokciowych.

Miała siostrę i brata. Brat był od niej starszy, siostra—młodsza.

Przypomniła ich sobie teraz. Siostra blondynka, tłusta, ładna, dumna ze swych oczu błękitnych i jasnych włosów, ona, Luiza była ciemna, szczupła, wysoka, z twarzą pociągłą, nie ładną, z czarnymi oczami i gęstymi, czarnymi włosami, zwykły typ neapolitański.

Widziała brata Kajetana, pięknego młodzieńca, pełnego pogardy dla mieszczańskiego środowiska! Oddał się na usługi młodzieży arystokratycznej.

Widziała ich oboje zimnych egoistów, chciwych i wyrachowanych, pod płaszczykiem młodości i wdzięku, ubóstwianych przez rodziców, którzy dla niej mieli zaledwie zdawkowe przywiązanie.

— Boże, Boże, jak oni mnie unieszczęśliwili! — wyszeptała zwracając się do krucyfiks.

Drgnęła. Kto to mówi? Co za głos żalił się jak przed trzydziestu laty na okrucieństwo, doznane od najbliższych. Co to była za skarga? Kiedyś przed laty celka słyszała takie skargi, takie jęki, takie łkania. Ale od tak dawna już całe jej nieszczęście rozwiało się, serce wyleczyło z ran krwawych. Któż otwierał rany zadane ręką bohaterską? Luiza Bevilacqua, mając lat dwadzieścia, kochała miłością silną i gorącą Silvia Fanelli, młodzieńca nie ze swojej sfery i on ją kochał namiętnie. Rodzice przeznaczili Luizie w posagu trzydzieści tysięcy lirów, podział był nierówny, gdyż Grazia miała dostać pięćdziesiąt, a Kajetan resztę dużej fortuny. Dumna, szlachetna i bezinteresowna Luiza nie dbała o pieniądze, wiedziała, że wyjdzie za mąż z miłości, nie dla interesu, wiedziała, że jej ubóstwiany Sylvio był również szlachetny i szczery. Pozwolono na ich związek, gdyż kochali się gorąco.

— O Boże! Ty wiesz, jak mi go porwano! — wykrzyknęła, bijąc głową o siedzenie krzesła.

Jeszcze teraz siostra Joanna powtarzała okrzyk rozpaczyny Luizy. Została zdradzoną. Jak słońce jasną stała się dla niej zdrada Silvia z jej siostrą Grazią.

Żartowali ze sobą początkowo zdrajcy, on, nie myśląc wiele, z próżnością mężczyzny, ona z zamiarem dokuczenia starszej siostrze, i tak weszli na drogę miłości, wpierv skrycie, ciesząc się owocem zakazanym, później już całkiem jawnie, bezczelnie, nie kryjąc się przed zdradzoną. Czemuż nie umarła wtedy z rozpaczey? Nie umarła z *dumy*. Nikt nie miał słowa nagany dla zdrajców, nikt słowa współczucia dla Luizy. Ona zdrewniała z bólu. Rodzice, brat, krewni, przyjaciele, jakby się zmówili, uważali za naturalne, że, rozmyśliwszy się, wołał młodszą siostrę od starszej. Ona sama, zdradzona, blada, nieruchoma, niezdolna do skarg wyraziła się, że nie dba o Silvia, niedba o małżeństwo i chętnie odstępkuje narzeczonego siostrze. *Chętnie*. Powiedziała ten wyraz pod wpływem jakiejś siły wewnętrznej. Jakiej?

— To Ty, Panie, wzywałeś mnie—szepnęła patrząc na Chrystusa na Krzyżu, nagle rozczulona.

Tak, to Pan Bóg ją wezwał do siebie, gdyż świat egoistów, nieludzkich, okrutnych nie był stworzony dla tej duszy namiętnej, gdyż olbrzymie rozczarowanie miłosne zabiło w niej wszelkie nadzieje i wszelkie pragnienia, zostawiając tylko tęsknotę za samotnością i modlitwą. Zanim odbył się ślub siostry z Silviem, Luiza oświadczyła stanowczo i kategorycznie swoją wolę wstąpienia do klasztoru; powołanie jej było tak silne, że wybrała regułę najsurowszą, gdzie zamknięcie jest nie tylko stałe, ale przypomina śmierć. Naturalnie ci, co ją zdradzili i ci, co pomagali w tem, przerazili

się, chcieli ją odwieść od zamiaru, nie umieli odpowiednio wytłomaczyć innym przyczyny tego postanowienia. Ale usiłowania ich były płonne.

Dziewczyna przeprowadziła swoją wolę.

Gdy wstąpiła jako nowicjuszka do zakonu Trzydziestu trzech, miała lat dwadzieścia dwa, miała ich dwadzieścia pięć, gdy złożyła śluby wieczyste, była teraz trzydziści pięć lat w klasztorze — nie wyszedłszy zeń ani razu, nie widziawszy ani rodziców, ani rodziny, ani przyjaciół—nigdy.

— Tylko Ciebie Panie—dodała po cichu, patrząc na Zbawiciela na krzyżu.

Oto prosta i zwykła historia siostry Joanny od Krzyża, taką ją sobie przypomniwała owej smutnej nocy w samotności swej celi. Nieraz, gdy była jeszcze młodą, historia ta wydawała jej się strasznym dramatem, który tylko ona znieść mogła, nieraz miała się za bohaterkę romansu zupełnie niezwykłego. Powoli, wszystko straciło wielkość, wagę, znaczenie, powoli fakty malały, malały aż znikły, a uczucia gorące spopielaly i zgasły. Nawet teraz, w czasie tej nocy niepokoju, zwątpienia i smutku, historia jej wydała jej się historją nie własną, a cudzą, słowa, które jej się wymknęły, były nie jej, lecz jakiejs osoby, która kiedyś żyła i znikła. Ona wyzwoliła się w Jezusie. Nie przechodziła wprawdzie wielkich przesileń mistycznych Wielkiej Karmelitki, ani uniesień Św. Katarzyny, ani ekstazy siostry Ludwiny, jej wiara była określona,

skromna, stała, ale taka, jaką było całe jej wyzwolenie.

Wstała z podłogi, na której klęczała zboląłymi kolanami. Nic minionego już jej cierpienie nie sprawiało, nic jej z tamtych rzeczy już boleć nie mogło. Ale była śmiertelnie smutna. W młodości znalazła schronienie od cierpienia w tym klasztorze, przeżyła lat 35 pod żelazną regułą i zestarzała się tutaj. Nie miała lustra, by zobaczyć twarz swoją, ale wiedziała, że czas wyrył na niej piętno; włosy pod opaską były krótkie, ale białe; wysiłki, chłosty i abstynencja osłabiły ją i zmarnowały. Obecnie w modlitwie nie znajdowała już nigdy zapалу, tylko słodycz i spokój. Czuliła się i była stara. Nie wiedziała nawet, ile lat ma; może wyobrażała sobie, że jest starszą niż była.

Dokąd pójdzie za dwa dni? Gdy wyjdzie przez furtkę klasztorną, która kiedyś zamknęła się za nią na wieki, gdzie się zwróci? Dokąd się uda? U kogo się schroni? U swoich? Kto oni? Czy żyją? Kto z nich pozostał? Może się rozpierzchli, wyjechali, umarli? Gdzie ich szukać? U kogo? Od lat trzydziestu pięciu nie widziała ani miasta, ani ulic, ani domów, ani mieszkańców, nie wiedziała nic, nie miała żadnych wiadomości, nie żądała ich i nikt ich nie przysyłał. Dokądże pójść? Samotna, stara, wystraszona, dokąd pójdzie, gdzie spadnie? A jeżeli nie znajdzie nikogo? Jak żyć? Gdzie żyć? Z czego żyć? Każda z nich wniosła posag do klasztoru i ona złożyła swoje dwadzieścia tysięcy lirów; rodzina jeszcze uszczupliła jej

fundusze. Powiadały niektóre, że rząd zwróci im pieniądze, inne twierdziły, że rząd nic nie da. A wtedy z czego żyć? Strach ją przejął, strach przed nieznanem, przed ciemnością, przed próżnią, strach przed światem wielkim, pełnym rzeczy niezrozumiałych i okropnych, strach, który ścina krew, sprawia zimne poty i szczekanie zębami. Zdało się siostrze Joannie, że wszystkie przedmioty z jej celki zniknęły, że krucyfiks się przekręcił, lampka zgasła, by się już nigdy nie zapalić, a ona błądzi w ciemnościach, chwiejąc się przy każdym kroku w obawie przewrócenia się.

Słabe światło przenikało przez kraty, a zakonnica, która od lat nie zbliżyła się do nich, podbiegła chciwie. Patrzyła po przez drzewa skrzyżowane na niebo, na jutrznie i morze odległe, wszystko w bieli srebrzystej i dachy neapolitańskie, które wylaniały się z mroku. Oto był świat. Tam miała powrócić. Wszystko było nadaremnie, było na próżno. Rozpacznie, niepocieszenie patrzyła na widnokrąg i płakała.

Zebrawszy przez dwie noce i dzień wszystkie siły, i chcąc raz jeszcze dać swoim zakonnicom przykład rezygnacji i posłuszeństwa, Matka przełożona oznajmiła z całą stanowczością, że wszystkie i ona wraz z niemi, zmuszone są opuścić klasztor św. Urszuli w poniedziałek, o godzinie trzeciej popołudniu. I znowy zbiegły się wszystkie koło niej z narzekaniem, py-

taniami, jękami; starszka mogła tylko polecić je opiekę Boskiej, która ich nie opuści. Przy każdym czynie, przy każdym ruchu, słowie, kroku, powtarzały mniszki:

— Oto, siostró, ostatni raz odprawiamy wspólnie nieszpory.

— Oto, siostró, ostatni raz śpiewamy razem *Panga Linguae*.

— Ostatni raz przechodzimy przez te wirydarze.

— Ostatnią noc pozwolili nam spędzić tutaj w tej celi.

Przy każdym takim zdaniu rozpaczem pochylały głowy pod welon, ręce im drżały konwulsyjnie.

Gdy nadeszła pora spoczynku, żadna nie chciała odejść do swej celki, przedłużały chwile ostatnie, zbierając się na korytarzach, przy drzwiach refektorjum, przy schodach, małemi grupkami, rozmawiając szybko głosem ochrypłym ze wzruszenia.

Dwu, trzykrotnie matka przełożona, posyłała siostrzyczki z prośbą, by się rozeszły na spoczynek, gdyż nazajutrz czeka je dzień ciężki. Odpowiadały ponuro: Ostatnia noc, ostatnia noc, ostatnia noc.

Wczesnym rankiem zaszły rzeczy bardziej jeszcze wzruszające. Siostra Weronika od Kalwarji, pomimo swych lat siedemdziesięciu, podniosła się z łóżka i spędziła noc sama, na modlitwie, w chórze, skąd wyszła o świcie zmarznięta, szepcząc nieprzytomnie *Zdrowaś Marja*. Siostra Franciszka od Siedmiu Wy-

razów, nie znalazłszy spokoju w swej celi, ułożyła się na stopniach Świętych Schodów. Schody te, na wzór rzymskich, miały trzydzieści trzy stopnie, po których młodsze, silniejsze siostry, na znak pokuty, wstępowały na kolanach i obmywały je łzami w zapale modlitwy. Na tych schodach siostra Franciszka spędziła noc całą, całując namiętnie kamień błogosławiony. Siostra Joanna od Krzyża, nie mogąc opanować bóleści, zeszła przy świetle księżyca do ogrodu i robiła wianki z kwiatów zerwanych, aby je poukładać na grobach sióstr, które umarły kiedyś w klasztorze i tu zostały pochowane. Przechodziła od grobu do grobu w bólu, nie bacząc na godzinę, na miejsce, na siebie. Odzienie jej było mokre od rosy porannej, a welon zmoczony przylgnął do twarzy. Od świtu, każdej chwili powtarzała uparcie: — „Siostro, za kilka godzin już nas tu nie będzie. Siostro, za kilka godzin opuścimy Św. Urszulę. — Siostro, za kilka godzin będziemy rozrzucone po świecie .

— Siostro, za kilka godzin...

— Za kilka godzin....

Głosy były drżące. W miarę jak południe się zbliżało, stawały się bardziej małowówne. Spotykały się, witały za ledwie, robiły machinalnie znak krzyża, albo czasem zbierały grupkami:

— Ja tu spędziłam lat czterdzieści...

— A ja, trzydzieści osiem. Miałam lat osiemnaście wchodząc.

— Ja miałam dwadzieścia pięć.

W południe matka zgromadziła je w dużej izbie i zaklinała, by zniosły ten ból w imię Jezusa i Jego Męki, prosiła też, by zebrały tę trochę rzeczy, co posiadały. Ona sama, która była z wielkiej rodziny i wniosła Św. Urszuli duży posag, kazała spakować swoje skromne manatki; stały za jej krzesłem, owinięte w chustkę.

— A obrazki?— spytała siostra Weronika — czy możemy zabrać swoje obrazki?

— Te w Waszych celach są Wasze, możecie je zdjąć i zabrać ze sobą.

— Czy możemy zabrać naszego Ecce Homo z kościoła?

— A statuę Matki Boskiej?

— A Sakrament z ołtarza?

— A schody święte? A mury klasztorne, drogic ściany?

Tak naiwnie wykrzykiwały nieszczęśliwe. Ruchem starczych rąk, które od lat poruszały się tylko do modlitwy i błogosławieństwa, matka starała się je uciszyć.

— Idźcie, idźcie, bądźcie posłuszne, córki moje.

Poszły. Wszystkie drzwi celek były otwarte na długim korytarzu drugiego piętra; w głębi izdebek krzątały się mniszki, zbierając swoje biedne ruchomości, zdejmując ze ścian obrazki, krucyfiksy, różańce, świece, przyczem całowały pobożnie każdy przedmiot modląc się i polecając.

— O Chryste, zlituj się nad nami...

— Matko Boża, prowadź nas...

— Święty Antoni, który sprawiasz trzydzieści łask dziennie...

— Św. Andrzeju, patrz na nas, jak na istoty w przededniu zgonu...

Niejedna rzuciła się na łóżko i całowała poduszkę, na której głowa jej spoczywała od lat tyłu, inna, złamana, siadła z ramionami opuszczonymi na jedynym krześle, inna kręciła się po celi z rozpaczą, dotykając i całując przedmioty.

Wtem, szybkim krokiem przebiegła przez korytarz Judyta, odzwierna, kierując się do pokoju matki przełożonej, z krzykiem doniosłym:

— Przerwana-klauzura, złamana, przerwana, klauzura. Weszli ludzie z urzędu!

Jakgdyby wichura przeleciała przez otwarte cele, jakgdyby grzmot przebiegł przez Św. Urszulę. W strachu panicznym, zapomniawszy o wieku, chorobach, bezsilności, wybiegły mniszki z celek, przez korytarz do matki, ukryły się za jej krzesłem, jak dzieci wyłknięte. „Przerwana klauzura, przerwana klauzura.

Nie mówiąc słowa, siostra Teresa podniosła się z krzesła. Widać tylko było drżenie jej starczych rąk, na których błyszczał pierścień przeorysy.

Do wielkiej sali weszło spokojnie trzech mężczyzn. Pierwszy ukazał się chudy wysoki pan, ze

starannie wyczesaną rudą brodą, w złotych okularach, ubrany elegancko. Chciał się podobać, pomimo swych lat pięćdziesięciu. W rękę trzymał świecący cylinder i laskę z rzeźbioną, złotą gałką; na twarzy obojętnej błakał się uśmiech uprzejmy, lecz jałowy, nie bez pewnej ironji. Był to prefekt Kacper Adriani, prefekt, jak mówiono, o pięści żelaznej. Przy nim młodzieniec bladej, o ciemnych podczesanych wąsach, równie zimny i równie strojny, młody radca prefektury. A dalej, za nimi, pan o twarzy pospolitej, wynudzonej i służalczej, ubrany przyzwoicie, ze zwykłą parą czarnych rękawiczek, które cechują urzędnika policji. Wszyscy trzej zbliżyli się do matki z uszanowaniem, a prefekt głosem słodkim, pochylając obłudnie głowę, przemówił:

— Przykro mi, szanowna Pani, że widzę się zmuszonym spełnić niewdzięczny obowiązek. Przycho-dzę, w imieniu króla, objąć w posiadanie klasztor Św. Urszuli, wraz ze wszystkimi jego ruchomościami i nieruchomościami.

— Protestuję w imieniu reguły zakonu Św. Urszuli, w imieniu zgromadzenia, które reprezentuję, przez siostry tu obecne i siebie, przeciw zgwałceniu klauzury — rzekła głosem jasnym przełożona, patrząc z pod welonu śmiało w oczy prefekta. ¶

Ten obrócił się nieco, pokłonił i z przesadną galanterją odrzekł:

— Żałuję, Szanowna Pani, że nie mogę zgodzić się na jej protest. Rząd mój rozwiązał zakony religijne i klasztory dla mnie nie istnieją.

— Protestuję prawnie i administracyjnie przeciwko temu czynowi nielegalnemu i krzywdzącemu. Poczynię odpowiednie kroki przed magistratem dla dochodzenia praw naszych.

Prefekt rzucił sarkastyczne spojrzenie na swego towarzysza, który uśmiechnął się z pewnem politowaniem. Obaj wzruszyli ramionami. Biedna siostra Teresa załoniła się protestem, którego formułę przysłał jej Eminencja za pośrednictwem księdza Angelisa, ale czuła, że to na nic wobec tych ludzi, którzy złamali klauzurę i weszli tu, jak do kawiarni.

— Trybunał zadecyduje — rzekł z fałszywem ustępstwem prefekt. — Tymczasem Jej Wielbność zechce zastosować się do faktu dokonanego i da mi możność spełnienia moich poleceń bez przeszkód i bez trudności!

Mówiąc tak, spoglądali wszyscy trzej na zakwefione mniszki. Ciekawi byli, jakie twarze kryją się za welonami, może młode i piękne. Zakonnice, pod wpływem tych spojrzeń, skupiły się jeszcze bardziej za krzesłem, jak stadko wystraszonych owiec.

— Wasza Wielbność zrozumiała? — spytał prefekt słodkim głosem.

— Nie rozumiem, panie, zechciejcie się wytłumaczyć jaśniej.

— Wszystkie mniszki, poczynając od pani, mają odsłonić twarze i podać swe nazwiska rodzinne dla sprawdzenia tożsamości osób.

Okrzyk przeciągły, powtórzony czternaście razy, odpowiedział: — Welonu nie, welonu nie, welonu nie!

— A jednak musicie go zdjąć, drogie panie, — dorzucił prefekt z uśmiechem, bawiąc się laską.

Ale one krzyczały wylęknione: — Welonu nie, nie, droga Matko, powiedzcie mu, że nie chcemy, nie możemy go podnieść.

— Słyszysz pan — rzekła Matka głęboko przejęta — one nie mogą zdjąć welonu.

— Wasza Wielbność skłoni je do posłuszeństwa według swego prawa, — powiedział prefekt tonem mniej słodkim.

— Nie mogę żądać od nich czynu, sprzeciwiającego się naszej regule.

— To niech Jej Wielbność zacznie od siebie, — dodał tonem lodowatym, patrząc przed siebie.

— Ja tego nie uczynię, panie.

— A jednak trzeba. Niech się Jej Wielbność zdecyduje.

— Nie, panie.

— W takim razie, — szepnął z udanym żalem — będę musiał uciec się do gwałtu.

— Dobrze panie, spróbuj gwałtem.

Ruchem doświadczonego tancmistrza, zwrócił się prefekt do przeoryszy Trzydziestu trzech, Siostry Teresy,

przełożył cylinder i laskę w jedną rękę, a drugą, skłoniwszy się uprzejmie, sięgnął po welon zakonnicy i uniósł go z uśmiechem. Siostra Teresa, pomimo jęków zakonnice, nie stawiała żadnego oporu. Ukazała się twarz stara bardzo, zniszczona przez modlitwy i kontemplację, twarz, gdzie obok rysów szlachetnych, rasowych, wyryła się szlachetność życia oddanego Bogu, twarz osoby bliskiej śmierci, na której nie było już starczej bladości, lecz bladość bólu, pokonanego przez najwyższą rezygnację.

Prefekt zatrzymał się osłupiały, — może w tej chwili rola jego wydała mu się mniej pociągająca. Spojrzał na towarzysza i ten był nieco zmieszany. Tylko policjant nie stracił rezonu, dumny ze swej poufnej misji.

— Wasza Wielbność — rzekł prefekt, wyjmując kartki z portfela i odczytując je dla zamaskowania zmieszania — jest księżną Mormile di Casalmaggiore z książąt Trivento?

Powieki przełożonej drgnęły kilkakrotnie, starała się zebrać pamięć.

— Ja jestem siostra Teresa Serca Jezusowego, przeorysza Trzydziestu trzech. Byłam... tak... byłam kiedyś tą, o której mówicie.

— Dobrze. Niech mi będzie wolno także stwierdzić tożsamość pozostałych zakonnice. Bolesne to, ale konieczne.

— One też ustąpią tylko przemocy.

Z ukrytą, źle udaną ciekawością, zwrócił się prefekt do sióstr, drżących jak liście. Naśladowując swoją przełożoną, nie otwały ust, nie opierały się. Kolejno podniesiono i odrzucono czternaście welonów, ukazało się czternaście twarzy, twarzy starczych, zniszczonych przez samotność i abstynencję. Milczały, dreszcz przebiegał po skórze, odwykłej od powietrza, powieki, rażone światłem drgały. Ale na wszystkich twarzach malowała się boleść i rezygnacja nieporównana. Prefekt i radca byli źli i rozczarowani.

Chcąc się dostać do klasztoru Trzydziestu trzech na piechotę, bo niema drogi jezdnej, trzeba przejść wprzód przez ulice brukowane, potem drogami dziłkami i pustemi, daleko za miasto. Na bocznych, małych drzwiach klasztoru, gdzie dostawcy składają w ręce adeptek potrzebny prowiant, jest czarny, żelazny krzyż, z za muru widać drzewa ogrodu. Główne wejście niema żadnej odznaki religijnej. Tem wejściem wsunęły się po raz ostatni mniszki jedna po drugiej; nie otwarło się ono więcej niż dwa, lub trzy razy przez lat czterdzieści, na przyjęcie kardynała, lub spowiednika. Nikt pozatem nie dostał się nigdy przez te drzwi, stale zamknięte. Dziś stoją otworem. Kłauzura zniesiona od dwóch godzin i mniszki powoli, jedna po drugiej wychodzą z zamknięcia, gdzie zamierzały zostać na cześć i chwałę Krzyża Jezusowego.

Przed wejściem zaczynają gromadzić się ludzie, powiadomieni o tym niezwykłym fakcie, ciekawi uj-

rzec owe Trzydzieści trzy, owe Żywcem Pogrzebane, które rząd usuwa z klasztoru. Dają się słyszeć urywane głosy:

— Biedaczki; co się z niemi stanie. Niegodziwy rząd, wszystko zabiera, zabrał im pieniądze, teraz odbiera im klasztor.

— Zobaczycie, że wyjdą za mąż, te mniszki.

— Przecież są stare.

— Znajdzie się chyba jakaś młoda.

— Biedaczki, biedaczki, Pan Jezus nie powinien był na to pozwolić. To kara, to kara.

Wnętrze wielkiej bramy przyciąga oczy wszystkich. Coś pojawia się w ciemności. To stara mniszka, wsparta na ramieniu adeptki; to przeorysza podchodzi do drzwi, by pożegnać kolejno swoje odchodzące zakonnice. Oczy jej płoną od łez wylanych. W tłumie znów słychać wyrazy współczucia:—To Matka przełożona. Co za świętokradztwo, Matko Boska, do czegośmy doszli. Biedna starowina umiera z bólu.

I oto wychodzi pierwsza zakonnica. Jest nią siostra Gertruda od pięciu ran, stara, chuda, wysoka. Towarzyszy jej brat, ksiądz, młodszy nieco, który przyszedł ją zabrać.

Siostra Gertruda posuwa się wolno z welonem odrzuconym, *taki był rozkaz*, z oczami spuszczone, w milczeniu. Spostrzegłszy Matkę przełożoną we drzwiach, zatrzymuje się, pochyla i całuje rękę.

— Po raz ostatni, pobłogosław mnie Matko—
szepce cichym głosem:

— Błogosławię cię, córko teraz i na wieki.

Siostra Gertruda przechodzi przez próg, po krótkim wahaniu i przesuwa się powoli wśród głosów ludzkich, ginąc na zakręcie.

Inna zakonnica ukazuje się we drzwiach. Jest to mała, drobna siostra Klementyna od Cierni. Cała zapłakana, ukrywa twarz w chustce, a przy niej oniesmielony, milczący szwagier, starzec ożeniony z jej cioteczną siostrą, jedyną krewną, której nie zna i która jej też nie zna.

— Odchodzę Matko, odchodzę, żegnam,—woła szlochając i całując pierścień przeoryszy.

— Niech Bóg Ci towarzyszy na każdym kroku, aż do śmierci, — odpowiada staruszka, ledwie powstrzymując łkanie.

Siostra Klementyna, widząc ulicę pełną ludzi, wzdryga się, płacz nią wstrząsa znowu. Ale posłuszeństwo zwycięża, mija próg, idzie, idzie nie widząc drogi, oślepiona przez łzy. I w tłumie niejedna osoba na ten widok płacze, złorzeczy Rządowi.

— Zbóje, nikczemnicy. Co za podłość!

Wychodzi siostra Weronika od Kalwarji, święta, vice-przeorysza. Jej ciemna i chuda twarz jest zupełnie pogodna. Przyjęła jako dopust Boży tę nową klęskę, i, jak prawdziwa córka Boża, jest spokojna, ci-

cha, bierna. Daje się prowadzić, gdzie wola Niebios jej wskazuje. Spędziła noc całą na modlitwie w chórze, wyszła drżąca z zimna, ale spokojna na zawsze.

Jakiś urzędnik z towarzystwa żeglugi morskiej, chłopiec młody, ale pospolity i zimny, przyszedł po nią, by ją statkiem przewieść do krewnych, mieszkających na Sycylii. Przechodząc około Matki przełożonej, siostra Weronika ma jeszcze uśmiech na twarzy, całuje jej rękę, jak co wieczór na dobranoc. Matka spogląda na nią z początku zdumiona, potem z podziwem. Role się zmieniają, przeorysza poleca się jej, tej najpobożniejszej, którą Bóg już pocieszył. — Polecaj mnie codziennie Jezusowi, siostró Weroniko.

— Nie godnam, matko.

Idzie siostra Weronika bez wahania pomiędzy ludzi. Tłum uśmiecha się, widząc ją tak spokojną, pomimo starości, mimo zgarbienia i, czując w niej duszę błogosławioną, poleca się jej.

— Zmów za mnie Zdrowaś Marja, dobra Matko.

— I za mnie, za mego chorego syna. Poleć mnie duszom czyśćcowym!

Siostra Weronika zgadza się pochylając głowę, idzie, idzie i znika.

Następna, to siostra Franciszka od Siedmiu Słów, ta, która spędziła noc na schodach świętych, jest obrazem niepowściągniętej rozpacz. Robi jeden krok naprzód, a trzy w tył, staje co chwila, i całuje ściany jęcząc, wdychając, zupełnie jak nieprzytomna.

Matka napomina ją wejrzeniem, wskazując tłum, ale siostra Franciszka rzuca się na kolana i chowając głowę w sukni przełożonej rzecze:—Wybacz mi, przebac mi, Matko, wszystkie moje grzechy w tej strasznej chwili...

— Bóg Ci przebaczył, jesteś dobra, córko moja, ale nie dawaj ludziom widowiska...

— Matko, pobłogosław mnie jak na śmierć.

Błogosławi ją, a tymczasem krewni niecierpliwą się, i czekają końca tej rozłąki. Siostra Franciszka nie chce odejść, wraca, całuje drzewo bramy:

Siostra Teresa wzywa ją: Bądź posłuszną, córko moja, bądź posłuszną...

Siostra posuwa się z głową spuszczoną, nie odwracając się więcej, ale nie widzi drogi przez sobą, zaracza się, zdaje się, że padnie. Tłum wzrusza się znowu: Ona jak Chrystus pod Krzyżem, jak Chrystus! —Ta nie pociągnie. Tem lepiej dla niej.

Smutny pochód wygnanych zakonnic ciągnie się dalej, wszystkie mają na twarzy ślady łez, niektóre płaczą, niektóre są osłupiałe z cierpienia. Przy każdym przejściu siostra Teresa doświadcza nowych boleści, błogosławi ze drżeniem, pożegnania stają się coraz bardziej rozdzierające. Przeszło ich już dziewięć w towarzystwie krewnych, bliższych lub dalszych, lub dawnych znajomych. Teraz ukazują się razem cztery mniszki. Rząd nadaremnie trzy lub czterokrotnie wysyłał okólnik do przypuszczalnych krewnych, nikt nie

odpowiedział. Te cztery kobiety nie mają nikogo; towarzyszy im urzędnik policji. Płacząc żałą się przed przełożoną: Kto wie, dokąd nas poprowadzą matko. Gdzie nas porzucą, co będzie z nami. Nikt się nad nami nie zlitował!

Stara przełożona jest dobita. Los tych czterech nieszczęśliwych złamał jej serce. Zapytuje urzędnika.

— Dokąd je pan zaprowadzi?

— Do policji,—odpowiada szorstko.

Siostra Teresa nie rozumie.

— Czy to przytułek—zapytuje drżąca.

— Ha,—jak to kto rozumie...

— Polecam je panu—szepce z godnością.

— Dobrze, pani przełożono. A teraz chodźcie, panie mniszki,—mówi poufale, jak gdyby wskazywał drogę gromadzie złoczyńców. Tłum wie, kim jest ten człowiek, jaki jego pospolity urząd, co to jest policja.—Biedaczki nie mają nikogo, prowadzą je do policji razem ze złodziejami i ładacznicami, będą spały za kratą, razem ze strażą i łotrami. Biedaczki, biedaczki!

Zakonnice nie słyszą, nie rozumieją nic, nie znają swego losu. Idą.

Przy wyjściu zjawia się ostatnia zakonnica, siostra Joanna od Krzyża. Nie zastała nikogo w rozmównicy, ale wie, że kobieta jakaś czeka na nią przed bramą. Siostra ma oczy napuchłe od płaczu, wargi

jej drżą, jak dziecku. Wygląda staro, bardzo staro, zmęczona, chora. Klęka przed Matką przełożoną, całuje jej rękę i kraj szaty.

— Czy nie masz nikogo?—zapytuje przeorysza, na pół żywa.

— Owszem—jest ktoś podobno.

— Kto taki?

— Nie wiem. Czeka na mnie.

Istotnie za furtką jakaś kobieta zbliża się do siostry Joanny od Krzyża. Jestto osoba przeszło pięćdziesięcioletnia, ze śladami piękności na wyniszczonej twarzy, o włosach prawie białych. Ubrana jest pretensjonalnie, nieodpowiednio do swego wieku, wyraz jej twarzy jest nieokreślony, jakby niezadowolony. Zbliża się do siostry Joanny i przygląda jej się zmieszana i niepewna.—Czy siostra Joanna od Krzyża? — Tak, a wy kto — zapytuje siostra, wpatrzona w obcą niewiastę.

— Jestem twoja siostra, Gracja.

Przyglądają się sobie bacznie nie podając ręki.

— Przyszłam po ciebie, — dodaje Gracja.

— A rodzice?

— Umarli dawno,—szepce wzdychając.

— Przyszłam Cię zabrać do siebie.

— A brat Kajetan?

— Umarł. Ja przyszłam po Ciebie.

— A Silvio Fanelli, twój mąż? — pyta siostra Joanna, nie ruszając się z miejsca.

— Też nie żyje. Chodźmy.

— Chodźmy.

Teraz, gdy wszystkie zakonnice wyszły, rozpierzchły się po świecie, siostra Teresa również decyduje się wyjść. Przyszła po nią dziewczynka piętnastoletnia o rysach szlachetnych i dumnych, wnuczka jej siostry. Jakkolwiek młodziutka, jest poważna i pełna godności. Za nią idzie służący w bogatej liberji.

Siostra Teresa przygląda się murom klasztor-
nym, po raz ostatni. Drżąca, zgarbiona, ledwie może się poruszać i wsparta na ramieniu dziewczątka zabiera się do wyjścia. Duże drzwi zamykają się z hałasem za ostatnią z Trzydziestu trzech. Tłum, na widok tej ruiny ludzkiej, wypowiada słowa proste, sprawiedliwe, pełne współczucia.

— Biedna, nieszczęśliwa, czy nie mogli jej pozwolić umrzeć tutaj?

II

Siostra Joanna od Krzyża szła z oczami spuszczone, zamknięta w sobie, dotykając muru czarną suknią i płaszczem. Twarz miała odsłoniętą, ale opaska biała okalała czoło aż do brwi pod czarnym kapturem, a biały kołnierzyk chował szyję, aż pod brodę. Wiał zimny wiatr poranny i dreszcz nią przebiegał. Szła z kościoła, gdzie słuchała mszy, jak codziennie, i gdzie tego ranku komunikowała. W klasztorze spowiednik dopuszczał ją do rozkoszy komunji co tydzień, w piątek; teraz ksiądz stał się surowszy, mimo swej wielkiej dobroci dawał jej komunię tylko raz na miesiąc. Żaliła się nieraz przed nim.

— Teraz jesteś *na świecie* — odpowiadał.

— Prawda, jestem na świecie — mówiła z głębokim westchnieniem.

Nie szła daleko. Mieszkała z siostrą i dwojgiem siostrzeńców, Klementyną i Franciszkiem Fanelli w małym mieszkanku w podwórzu. Nie chcąc w stroju zakonnym, który zwracał uwagę, nie zawsze życzliwą,

i w swej niepokonanej nieśmiałości, chodzić ulicami, chodziła na codzienne modły do sąsiedniego kościoła; tylko raz na miesiąc, we czwartki, dla spowiedzi szła daleko, do kościoła księdza Ferdynanda de Angelis. Była ledwie siódma godzina, ulica była pusta, spokojna i brudna, gdzieś tam zaspany stróż otwierał bramę i wypuszczał biednych ludzi, udających się na robotę. Siostra Joanna rychło wpadła do bramy swego mieszkania. Stróżka, chuda i zniszczona biedą, owinięta w wypłowiałą chustkę, powitała ją żałośnie:

— Niech będzie pochwalona Najświętsza Panienka, siostro zakonna.

— Niech będzie pochwalona—odrzekła cichutko, starając się minąć. Ale stróżka zatrzymała ją wzdychając,

— Siostro zakonna, powiedzcie siostrze swojej, że już nie mogę wytrzymać z tym paniczem.

— Dlaczego—spytała prawie bezwiednie mniszka—co uczynił mój siostrzeniec?

Pożałowała natychmiast. Wszak przysięgła Bogu, spowiednikowi i łośbie samej, nie wtrącać się do spraw życia.

— Nie wrócił na noc do domu—żałowała się stróżka.—Chora, musiałam czuwać w nocy, aby mu drzwi prędko otworzyć, gdy zapuka. Czekał, ja ci dam!

— Mój siostrzeniec nie wrócił?

— Nie, wcale. Prawda, że mnie wynagradza, jak wraca późno, ale jak nie wraca, nie śpię, a on zapomina później i nie daje mi nic, ten młokos.

— Weźcie to,—rzekła zakonnica i wyjęła z kieszeni kilka monet.

— Dziękuję, dziękuję. Co za grzech, żeby taki dzieciak tracił noce na grze, czy Bóg wie na czym...

Siostra nagle spuściła oczy, zarumieniła się, zmieszała. Stróżka spostrzegła się.

— Niech będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament, siostro moja.

— Niech będzie pochwalony!

Siostra minęła szerokie podwórze i paradne schody, przeszła przez korytarz i podwórko, gdzie było gorsze wejście wielkiego budynku. Po ciasnych i ciemnych schodach weszła na pierwsze piętro i zaczęła szukać klucza od mieszkania. Wtem posłyszła ciche kroki, ktoś ostrożnie zamknął drzwi drugiego piętra. Jakaś pani schodziła powoli, opierając się na poręcz; była strojna, ale widocznie ubranie było narzucone w pośpiechu, nie dopięte, kołnierz od futra podniesiony. Była bardzo blada i widocznie zmęczona. Na widok zakonnicy, zawahała się, potem przeszła z głową spuszczoną, jak osoba zbita fizycznie i moralnie.

Siostra Joanna, gdy sprzątała w kuchni wieczorem, widziała dwa czy trzy razy ową panią, wchodzącą wolna po schodach do mieszkania młodego adwokata, zawołowaną, bez pukania. Pozostał po niej zapach perfum. Zakonnica pochyliła głowę

i weszła do mieszkania przez drzwi kuchenne, aby nie obudzić siostry i siostrzenicy, które sypiały długo, gdyż kładły się późno, spędzając wieczory na zabawach, w domu lub u znajomych. Siostra Joanna minęła kuchnię i jadalnię ubogo urządzone, gdzie na stole stały tłuste i brudne talerze, kieliszki po winie i poplamione serwetki. Matka i córka po powrocie do domu widocznie jadły kolację z resztek obiadu i zostawiły wszystko na stole, licząc, że siostra Joanna sprzątnie i zmyje, gdy wstanie. Na pozór udawały, że się gniewają na nią za spełnianie obowiązków służącej, i krzyczały na posługaczkę, osobę brudną i leniwą. Ale ponieważ siostra Joanna chętnie, a poniekąd dla zapelnienia czasu sprzątała, godziły się na to, same zaś wylegiwały się długo, potem czesały i stroiły bez końca, pełne próżności i kokieteryj mimo biedy.

Siostra Joanna, zanim zabrała się do roboty, weszła do drugiego pokoju, jednego z najlepszych w małym i źle urządzonej mieszkaniu. Miał on wprawdzie wygląd klasztorny, skromne łóżko, moc obrazków świętych, kadzielnicę i świece wielkanocne, ale na łóżku Gracja położyła pierzynę i na podłodze dywanik. Około balkonu stały dwa krzesła, na jednym wałek zielony do robienia koronek, i zaczęta robota.

Był to ulubiony kącik siostry Joanny po ukończeniu robót gospodarskich. Na wprost jej balkonu były dwa balkony, prawie zawsze zamknięte i zasłonięte

przez zielone żaluzje; rzadko kiedy w lecie otwierano troszkę żaluzje, ale nic wewnątrz nie było widać. Siostra Joanna polubiła dom naprzeciwko ponury i cichy, przypominał jej klasztor św. Urszuli. Nieraz z dziecięcą ciekawością starała się coś zobaczyć, ale nadaremnie. Czasem stara służąca uchylała okiennicę, by wytrześć ścierkę od kurzu, nic więcej. Gracja i jej córka, widząc zaciekawienie starej zakonnicy, uśmiechały się złośliwie. Ale siostra Joanna nie spostrzegала tego uśmiechu, ani wielu innych. Skończywszy sprzątanie, gotowanie, modlitwy i różaniec, zimą czy latem, siadała na swoim ulubionym miejscu, gdzie miała ciszę i spokój. Raz czy dwa razy w nocy zbudził ją jakiś głośny śmiech, jakieś ochryple głosy z przeciwka. Myślała, że to jacyś pijani, i zasypiała znowu. W dzień uliczka była pusta, a dom na wprost cichy i głuchy.

Powróciwszy do domu, po przyjęciu komunji nie chciała odrazu zabrać się do pracy, chciała się skupić i jak w minionych, szczęśliwych dniach klasztornych uklęknąć przed krzesłem, smutek zalał jej serce, tęsknota za życiem klasztorne, za ciszą, klauzurą. Starła się nie żyć życiem świeckim, ale była na świecie, starała się utrzymać na stopie klasztornej, ale jej się to zaledwie częściowo udawało. Obecnie chciała się pogрузić w rozmyślaniach, lecz wciąż wracało pytanie niespokojne: Dlaczego mój siostrzeniec nie wrócił. Gdzie jest? Czy mu nic nie grozi?

Franciszek był młodszy z rodzeństwa, miał za-
ledwie dwadzieścia dwa lata, był wysoki, zgrabny,
o kasztanowatych włosach, jasnych wąsach i oczach
szaro-niebieskich. Przypominał ojca zupełnie, podczas
kiedy Klementyna podobna była do matki, również
jasna blondynka, blada i bez wyrazu. Franciszek wie-
dział o swej urodzie, zajmował się nią bardzo, tracił
wiele czasu i pieniędzy na ubranie, zabierając matce,
co mógł. Matka i siostra były z niego niezadowo-
lone, bo nie chciał pracować, a wyrzucał pieniądze,
których było niewiele. Był obojętny, lecz pieśczo-
tliwy, samolub, ale miły, wymagający, ale uprzejmy,
w gruncie bardzo zimny pod pozorami porywającemi.
Gdy się zjawił z prośbą, piękny, strojny, z uśmiechem
szczęśliwego młodzieńca, podbijał matkę i siostrę.
Niepokoiła się o niego stara ciotka. Wtem, zapuka-
no do drzwi kuchennych i przzerwano jej rozmyślenia.
Dobijała się posługaczka, trzeba było jej otworzyć
i zająć się sprawami domowemi.

Czy niebyło obowiązkiem wywdzięczyć się za
przytulenie jej? Była za stara, by podolać wszystkim
pracom, i ulżyć służącej, która wyrzekała na złe panie,
skąpe życie i małą płacę.

— Czy kupiłaś kawę?— spytała zakonnica.

— Kawę? Nie miałam pieniędzy— odrzekła, wzru-
szając ramionami.

— Pani ci nie dała?

— Nie. Kupiła pudełko pudru dla siebie i parę rękawiczek dla panienki, jakże miała pamiętać o kawie,—mruknęła sługa.

— Masz, idź kup—rzekła siostra Joanna, sięgając do kieszeni.

— To niech mi siostra da jeszcze na mleko. Panicz lubi kawę z mlekiem.

— Panicza niema—rzekła drżącym głosem siostra.—Nie powrócił.

— Wróci później—dodała obojętnie posługaczka.

— Tak sądzisz, naprawdę?

— Ach, siostro droga, nie zginął, ma lat dwadzieścia dwa—rzekła cynicznie.

— Czy mu się aby nic nie stało? Noc za domem, kto wie gdzie.

— Eh, ja wiem gdzie!

Nie nalegała więcej, zarumieniła się mimo swych lat sześćdziesięciu, jak dziewczynka; otuliła się płaszczem i kiedy służąca zabierała się do wyjścia, zaczęła znosić do kuchni brudne naczynia z pokoju i zmywać, a potem rozpałała ogień, by ugotować wodę na kawę. Praca ta nie sprawiała jej przykrości, spełniała ją i w klasztorze, gdyż przeorysza wymagała, by kolejno pomagały adeptkom. Czyniły to chętnie, rozumiejąc, że praca ta idzie na chwałę Panu. Tu, w zimnej i ciemnej kuchni, źle uposażonej, bo siostra wołała wydawać na zbytki osobiste i pozory, w towarzystwie sługi niechętnej i chciwej, obmawiającej i klnącej,

pracowała z rezygnacją. W domu rodzicielskim miały dobrobyt i nie przywykły do pracy. Gracja straciła wszystko jeszcze za życia męża, a obecne dochody były bardzo szczupłe i trzeba było starać się wydać za mąż córkę.

Siostra Joanna otrzymała od rządu, dzięki wymaganiom prasy klerycznej, tysiąc lirów; mówiono, że rząd zwróci zakonnicom włożone przez nie do klasztoru sumy. Siostra Joanna płaciła zatem za gościnność, łatając biedę jako tako, kiedy Gracja farbowała włosy, a córka jej używała perfum. Oczekiwano dwudziestu tysięcy lirów Joanny od ośmiu miesięcy. Ona sama niecierpliwiła się widząc stan rzeczy, robiła na sobie oszczędności i wyjmowała raz po raz z węzelka, z owego tysiąca, po trosze, licząc, że po odbiorze posagu będzie mogła dać sporo siostrze i siostrzeńcom. One nie mówiły nic, udawały, że nie widzą, gdy wyjmowała pieniądze. Nie sprawiła sobie ani spódnicy, ani chustki do nosa, nosiła to, co miała w klasztorze, prała i prasowała sobie sama.

Potrzebne jej były trzewiki, ale nie chciała wydać na to dziesięciu lirów.

Kiedy kawa była gotowa, służąca zaniósła ją do pokoju, gdzie matka i córka odpoczywały w łóżku z włosami rozrzuconymi.

— Co robi ciotka? — spytała, przeciągając się, dziewczyna.

— Sprząta pokój jadalny. Już była na mszy.

— Szczęśliwa, jest w łasce bożej, — powiedziała. obłudnie Gracja.

Siostra Joanna rzuciła ścierkę i poszła otworzyć drzwi, do których pukano.

Na progu ukazał się Franciszek, piękny Franio, elegancki, uśmiechnięty, spokojny.

— O! jesteście! — zawołała stara mniszka.

Nie powiedziała nic więcej, tak była uradowana. On, zawsze uprzejmy, wziął starą, zniszczoną rękę zakonnicy i podniósł ją do ust.

— Byłem w Casercie z przyjacielem, — rzekł z uśmiechem, jak gdyby nic nie zaszło.

— Chcesz kawy z mlekiem, chcesz?

Już biegła, by mu podać, ale on schwycił ją za płaszcz.

— Zrób mi ciotko grzeczność.

— Co chcesz?

— Mam zapłacić mój udział w podróży. Pożycz mi dwadzieścia pięć lirów.

Cichym krokiem udała się do pokoju po pieniądze, on tymczasem palił papierosa i nucił. Z sypialni dochodziły głosy żywej sprzeczki.

Dwie staruszki siedziały naprzeciwko siebie z nogami na zimnej podłodze, z rękami schowa-

nemi w szerokich rękawach ruchem zakonnym i patrzyły na siebie z rozczeniem, prowadząc cichą rozmowę. Była zaledwie czwarta godzina po południu, ale dzień był ponury, szary, zimny. Wsunęły krzesła w ramę okna balkonu. Domową była siostra Joanna, gościem, siostra Franciszka od siedmiu słów, w życiu nosząca imię Marjanny Caruso. Siostra Franciszka nie zaznała spokoju, dopóki za pośrednictwem księży, nie dowiedziała się adresu jednej, z „Żywcem pogrzebanych“ i w przeciągu dziesięciu miesięcy trzy razy zapukała do drzwi siostry Joanny, pomimo znacznej odległości i trapiącego ją reumatyzmu. Siedziały ze sobą długo w czasie tych odwiedzin, ale nie pocałowały się, nie podały sobie ręki, gdyż wszystkie objawy czułości były siostrom wzbronione. Rozmawiały cichutko, jak osoby nawykłe do ciszy klasztornej.

— Zmuszona byłam się wyrzec wielbienia Świętych schodów, co było moją pociechą w klasztorze,— rzekła pokornie siostra Franciszka. — Mówią, że są tu w Neapolu Święte schody, ale tak daleko, że nawet jadąc omnibusem, musiałabym stracić jakieś dwie, czy trzy godziny. A może już nie miałabym sił, by odbyć te trzydzieści trzy stopnie na kolanach. Jestem już taka stara, o trzynaście, czy czternaście lat starsza od ciebie, Joanno.

— Ja też musiałam się wyrzec wielu przepisów,— odrzekła siostra Joanna. — Mieszkam u siostry, która, jako osoba światowa nie rozumie zupełnie

rozmaitych rzeczy. Pamiętasz Franciszko, że zawsze pościłam w czwartki, w wigilię dnia, w którym umarł Pan. Teraz nie mogę. Siostra twierdzi, że niektóre przepisy religijne są szkodliwe dla zdrowia, siostrzenica drwi, a siostrzeniec uważa, że wyróżnianie się jest także grzechem. Musiałam znieść post czwartkowy, ale ponieważ przywykłam nie jadać tego dnia, nie jestem w stanie przełknąć żadnego kęsa.

— O ile chcę palić lampę przed obrazem świętym—rzekła siostra Franciszka—zmuszona jestem kupować sobie oliwę sama. Krewni moi są bardzo skąpi. Zresztą są bardzo ubodzy i całe szczęście, że nie mają dzieci, bo ledwie na siebie mogą wystarczyć. Nie śmiem ich o nic prosić. Przez dwa miesiące po mojem wygnaniu utrzymywali mnie, nie dając mi płacić za nic, ale była to ofiara zbyt wielka i nie mogli tego czynić dalej. Byli zawsze chłodni i milczący i czułam niezadowolenie z ciężaru, jaki spadł na nich. Jestem ich zimną ciotką, nie mają obowiązku mnie utrzymywać. Teraz... jest inaczej.

Milczenie. Patrzyły na siebie ze smutkiem, a potem nawiązywały rozmowę, jak gdyby mówiły same do siebie, cichutko głosem równym, jak monotonny i jednostajny szum strumyka.

— A co robisz teraz? — spytała siostra Joanna, pochylona ku starej towarzyszcze. Już nie jesteś im ciężarem?

— Nie, płacę. Płacę cośkolwiek miesięcznie, — odrzekła siostra Franciszka z westchnieniem. Od chwili,

gdy otrzymałam owe tysiąc lirów, nie śmiałam zjadać darmo chleba krewnych. Z początku nie chcieli przyjąć, wstydzili się, lękali, że ludzie ich obgadają. Ale jednak przyjęli i płacę teraz.

— A wiele płacisz?

— Płacę 40 lirów miesięcznie za wszystko. Dają mi pokój, obiad, usługę, pranie. Trochę kawy rano, obiad o drugiej i coś na kolację wieczorem.

— A jakie jest jedzenie?

— Wołałam kuchnię klasztorną — odrzekła ze smutkiem.

— Czterdzieści lirów miesięcznie. Płacisz od ośmiu miesięcy, nie prawdaż? Wydałaś już zatem trzysta dwadzieścia lirów.

— Wydałam już trzysta pięćdziesiąt, — rzekła z głębokim smutkiem siostra Franciszka. — Oliwa do lampki, drobna jałmużna, parę bucików, którą byłam zmuszona kupić, parę chusteczek... mam już tylko sześćset pięćdziesiąt lirów, rachowałam kilkakrotnie. Pieniądze te wystarczą mi zaledwie na dwa lata.

— Tak, na dwa lata, siostro Franciszko.

— Mam tylko jedną nadzieję w tem wszystkim.

— Że nam wrócą nasze wkłady?

— Nie zwrócą nam nic. Poza tym tysiącem lirów, nie otrzymamy nic, zobaczysz. Wtedy narobiono hałasu i dla uspokojenia ludzi dano nam te pieniądze. Teraz już wszyscy o tem zapomnieli. Je-

dyna moja nadzieja, to, że umrę przed owymi dwoma laty. Jestem bardzo stara i mam nadzieję, że Pan Bóg mnie weźmie i nie skaże na zebranię lub śmierć głodową.

Znów smutne milczenie. Przerwała je z wysiłkiem siostra Joanna.

— Ja nawet tej nadziei nie mam, siostrzo, bo jestem młodsza od ciebie. Muszę się polecić Bogu, by mnie zabrał z tego świata boleści i nędzy.

— Czy i ty płacisz?

— Nie, nie płacę. Ani siostra, ani siostrzeńcy nie chcieli słyszeć o tem. Ale jest jeszcze gorzej. Byli zamożni, dziś im ciężko, nie chcę powiedzieć z czyjej winy i dlaczego, nie wolno mi wygłaszać złośliwych i śmiałych sądów. Nieraz w domu pieniędzy brak. Wtedy ja muszę wydawać, nie chcąc uchodzić za skąpą, egoistkę lub wyzyskiwaczkę.

— I wydałaś dużo?

— O... dosyć.

— Ile?

— Około sześciuset lirów.

— Sześćset lirów? Jezul! Więcej niż połowę?

— Naturalnie, więcej niż połowę.

— Jakim sposobem?

— Tak, od solda do solda, od lira do lira. Wprzód zapisywałam wydatki, teraz już nie zapisuję.

— Sześćset lirów, to za dużo, Joanno!

— Tak, wiem, że za dużo. Ale mój siostrzeniec tyle potrzebuje... Młody jest, chciałby się ożenić... ile razy żąda odemnie pieniędzy, nie umiem odmówić.

— Kochasz tego siostrzeńca, prawda?—spytała siostra Franciszka, przyglądając się swej siostrze w Chrystusie.

— Tak, kocham go.

— To, zdaje się, syn tego młodzieńca, którego miałaś poślubić.

— Tak, jest to jego jedyny syn. Ojciec nie żyje; gdyby żył, nie byłabym tu przyszła,—rzekła z prostotą siostra Joanna od Krzyża.

— W obawie pokusy może?

— Nie, siostro. Od wielu lat Jezus zesłał mi spokój, zresztą jestem stara. Ale nie byłabym przyszła, gdyby Silvio żył. Byłoby śmieszne i głupie powrócić tutaj. Lecz już go niema i przebaczyłam mu dawno, tak jak i on musiał mi przebaczyć przed śmiercią, jeżeli mu kiedy sprawiłam przykrość.

— Czy syn podobny do niego?

— Tak, bardzo podobny.

— Czy wypowiadałaś się z tego wszystkiego?

— Tak, siostro,—rzekła kornie Joanna.

Wypowiadałam się skrupulatnie.

— I rozgrzeszono cię?

— Tak. Ale spowiednik żądał, bym już nie dawała pieniędzy, ani siostrze, ani siostrzeńcowi.

— Ma słuszość. Jak wydasz wszystko, co będziesz robiła?

— Ja nie wiem,—odrzekła drżąc cała.—Nic nie wiem.

— Mnie starczy jeszcze na dwa lata, ale tobie nie, siostró.

— Może na dwa miesiące najwyżej, i drzę cała na tę myśl. Nie sądzisz, że nam zwrócą posagi? Nie? Nie przypuszczasz? Tu, liczą na to, zwłaszcza mają nadzieję. Ja może nie powinnam tego mówić, ale tak jest; siostra moja liczy na to wobec swojego ubóstwa. Gdy przybyłam...—może nie powinnam tego mówić, to takie smutne, nie mówiła ze mną o pieniądzech, ale miałam podejrzenie, wszak mnie nigdy nie kochała. Czemu mnie przygarnęła? Początkowo nie mówiła nic. Myślała, że w klasztorze zebrałam sobie coś. A wiesz przecie, żeśmy zaprzysięgły ubóstwo! Później przekonali się, że nie mam nic prócz owego tysiąca i biorą go sobie, nawet nie dziękując. Teraz, od dwóch miesięcy, wciąż mówią o moich dwudziestu tysiącach, jak gdyby należały do nich, i mieli je otrzymać jutro.

— Nigdy nam posagów nie zwrócą—rzekła ponuro siostra Franciszka.

— To ty tak mówisz—rzekła siostra Joanna zalekniona.—A mój siostrzeniec twierdzi wprost odwrotnie. Jeździł dwa razy do Rzymu w tym celu, za każdym razem dałam mu 50 lirów i zawsze wracał dobrej myśli. Pamiętają, obrachowują się, odkładają

spłacenie różnych długów do tego czasu, projektują nowe wydatki. Lękam się, ale nie śmiem mówić.

— A obchodzą się dobrze z tobą?

— Gdy myślą o pieniądzach, tak,—odrzekła ciszej jeszcze.—Może nie są chciwi, ale są w potrzebie, coś robić? Dali mi przyzwoity pokój, jak widzisz. Pracuję w domu, robię wszystko, ale nie służę im, tylko Panu. Jestem przyzwyczajona do pracy, pamiętasz? Ale tam pracowałyśmy z radością. Tu jest nuda, smutek, matka z córką kłóć się często, mówią sobie rzeczy brzydkie, bardzo brzydkie. Ja cierpię nad tem, siostró.

— Tak, tak!

— Tak, to prawda. Wszystko mi się nie podoba. Ani matka, ani córka nie kochają Pana Boga, chodzą do kościoła w niedzielę dla zabicia czasu. Drwią sobie z religji. Wstaję i wychodzę, gdy podobne rozmowy się zaczynają: nie mogę tego słuchać. Czuję, że wyśmiewają mnie, teraz tembardziej...

— Trzymaj się, siostró.

— Gdy jestem sama, płaczę nieraz nad sobą. Myślę, co będzie ze mną, gdy wydam ostatni grosz, a oni stracą nadzieję otrzymania tych dwudziestu tysięcy. Zamykam się tu u siebie i robię te oto koronki...

— Mogłabyś sprzedawać koronki, — szepnęła siostra Franciszka.

— Sprzedawać? A co by mi za nie dano? Nie znam nikogo. Mogłabym. Ale ta koronka jest przeznaczona na ołtarz do kościoła.

— A więc inną, podobną, mogłabyś sprzedać.— Zamilkły. Ściemniło się. Postacie ich ginęły w cieniu.

— Czy tu spędzasz całe dni, siostrzo?

— Tak. Na wprost, jak widzisz, mieszkają osoby ciche i samotne, których nigdy nie widziałam, i które nigdy nie otwierają ani okien, ani balkonów. Nikt mnie nie widzi i ja nie widzę nikogo, i mam nieraz wrażenie, że powróciłam do Św. Urszuli...

— Oh, święta Urszula, to zupełnie co innego— szepnęła siostra Franciszka.—Nic jej nie przypomina, siostrzo. Ile tam lat spędziłyśmy, ile?

— Za mało!

— Zbiegły jak jeden dzień, mam wrażenie, że to był sen, zdaje mi się, że śniłam. Czy pamiętasz siostrę Klementynę od Cierni, tę małą?

— Tak, pamiętam. Biedna siostra Klementyna, taka była nabożna. I tak świetnie słała łóżka, że wszystkiesmy ją prosiły, by nam słała. Co się z nią stało?

— Kto to wie. I siostra Gertruda od siedmiu ran, była też dobra. Może trochę dumna ze swego pochodzenia, ale to była drobna wada. Żałowała, biła się w piersi, pamiętam, nieraz w nocy, biczowała się za tę dumę. Co się z nią dzieje?

— Kto to wie. Wszystkie siostry kochałam, ale siostra Weronika od Kalwarji, wydawała mi się świętą...

— To była święta. Ile łask szczególnych zesłał na nią Jezus i Marja. Zawsze jej się prosiłam, by mnie poleciła Matce i Synowi, a ona nieraz godzinami całemi modliła się za mnie, klęcząc, w uniesieniu. Kto ją zobaczy kiedy, niestety! Czy będzie się jeszcze modliła za mnie? Gdzie może być, co robi?

— Kto to wie?

— Nic już nie wiesz o żadnej z nich?

— O żadnej, tylko o tobie.

— A ja tylko o tobie. A tak bym chciała dowiedzieć się o naszej biednej Matce, Joanno. Starałam się bardzo; ale nie widuję nikogo, taka jestem chora, że nie byłam w stanie dowiedzieć się niczego.

— Siostra Teresa od Serca Jezusowego, była mi matką i dobrodziejką,—rzekła z uczuciem siostra Joanna,—Oderwałam się od niej przemocą.

Znowu cisza, długa cisza.

— Ja powiadam, że siostra Teresa już nie żyje—dodała siostra Franciszka, jakby mówiła do siebie.

— Myślisz, że nie żyje? Tak przypuszczasz?

— Tak sądzę, siostro. Żegnając ją, czułam, że nie może żyć długo. Pewnie już nie żyje.

— Szczęśliwa, jeżeli umarła!

— Szczęśliwa!

Wieczór zapadł. Siostra Franciszka podniosła się do wyjścia, wizyta trwała długo. Wstała i druga zakonnica.

— Odmówmy razem kilka Ave Maria, zaproponowała siostra Joanna ze smutkiem. Pomodliły się i pożegnały.

— Idę. Wezmę omnibus za dwa soldy.

— Nie lękasz się, siostro?

— Nie. Cóż mi się stać może? Kto dba o starą zakonnicę. Jest już późno, niema nawet łobuzów, by biedz za mną i krzyżeć „*siostra zakonnica*“.

— A kiedy się zobaczymy? Dziękuję za odwiedziny. Kiedy przyjdiesz znowu?

— Nie wiem, nie mogę powiedzieć. Jak Pan Bóg pozwoli. Może już nigdy, lepiej pożegnać się jakby na zawsze.

— A więc niech cię Bóg błogosławi.

— I ciebie, droga siostro.

Poszła z głową spuszczoną, z rękami ukrytymi w rękawach, druga zakonnica została z głową pochyloną.

Jedna samotna na pełnych ulicach. Samotna druga w pustym domu wprost kamienicy milczącej i ponurej.

Klementyna Fanelli zajrzała dwa, czy trzy razy, do pokoju ciotki, by się przekonać, co robi: pierwszy raz, zastała ją tak zatopioną w czytaniu książki do nabożeństwa, że nawet nie spostrzegła obecności siostrzenicy, drugi raz klęczała przed krucyfiksem z głową spuszczoną i modliła się gorąco: trzeci raz odmawiała różaniec na piętnaście zmian, siedząc spokojnie przy łóżku. Klementyna tupnęła nogą niecierpliwie i zagryzła wargi. Była to blondynka blada, z oczami niebieskawo-białymi, znudzona i złośliwa. Ubrana była jasno nawet w domu, miała wstążkę błękitną naokoło szyi, suknię wyciętą, choć to był luty i rękawy do łokcia. Włosy miała wyczesane pretensjonalnie, pospinane szpilkami i grzebykami z fałszywych brylantów i fałszywe perły w uszach. Pilno jej było wejść do pokoju ciotki i zbliżyć się do balkonu. — Czy ten różaniec nigdy się nie skończy? — Nie mogąc się doczekać, weszła przepraszając i stanęła przy upragnionym balkonie. Ciotka nie powiedziała nic, spojrzała tylko ze smutkiem na siostrzenicę, na balkon i dalej przesuwiała różaniec. Klementyna tymczasem zastała naprzeciwko, podług umowy, młodzieńca, z którym flirtowała i zaczęły się uśmiechy, znaki telegraficzne palcami, porozumiewania. Zakonnica odwróciła się plecami, by tego nie widzieć, ale to nie wystarczało Klementynie.

— Przepraszam, ciotko — rzekła — muszę coś powiedzieć Wicusowi i otworzyła drzwi balkonu, nie bacząc na ostre zimno.

Stara zakonnica usiłowała nie słuchać i pograżyła się znów w modlitwie, choć skończyła różaniec. Klementyna starała się mówić cicho, a mimo to ciotka nie mogła nie usłyszeć ostatnich wyrazów miłosnej rozmowy.

— Dziś wieczorem, dziś wieczorem.—Dziewczyna zamknęła balkon i weszła do pokoju, młodzieniec zniknął. Ożywiona i zaróżowiona przez chwilę, przybrała znów swój wygląd obojętny, znudzony. Już miała wyjść, gdy ciotka ją zawołała. — Klementyno, po co to robisz?

— Co robię?—spytała poruszona.

— Ta *przyjaźń*... z tym chłopcem... — szepnęła stara zakonnica, nie chcąc przez wstydlivość nazwać rzeczy po imieniu.

— To nie przyjaźń, to miłość, — odrzekła z impertynencją Klementyna. — Kocham Wicusia i on mnie kocha i dlatego to robię.

— To niedobrze, dziecko, to niedobrze.

— Dlaczego niedobrze? Wszyscy mają miłostki—ciągnęła dalej impertynencko.

— Nie wszyscy, córko, nie wszyscy.

— Ciotka nic nie wie o tem, bo ciotka zakonnica i stara. Wszyscy się kochają i ja również. Wszystkie moje przyjaciółki mają kochanków, a ja ładniejsza od nich, czemu bym mieć nie miała.

— Nie mów tak—rzekła siostra Joanna, a zmarszczona twarz jej oblekła się rumieńcem.

— Ja mówię co myślę, ciotko. Do licha z kłamstwem. Jestem młoda i nie ukrywam się z moją miłością. Niech się mężatki ukrywają, — odpowiedziała z bezczelnością.

— Cicho, Klementyno, cicho, — i zgorszona staruszka zatykała sobie uszy.

— Mężatki też romansują, niech ciotka wie, a to wstyd, bo mogłyby tego nie robić. Stróżka nasza ma kochanka, policjanta, który co wieczór ją odwiedza i zastaje szklankę kawy i kieliszek wina. Czy ona panna, czy mężatka? A nad nami adwokat ma kochankę, mężatkę, która przychodzi do niego dwa lub trzy razy na tydzień wieczorem i zostaje do rana. Widziałam jak przychodzi i jak odchodzi i ciotka też ją musiała spotkać...

— Jezu, Jezu, żeby panna tak mówiła, — wykrzyknęła z bólem zakonnica.

— Ba, dziś panny wiedzą wszystko! Dziś już panny nie są takie głupie, jak za czasów ciotki. Ciotka była niemądra, żeby się zakopać żywcem przez swojego ojca, który ją zdradził i mamę, która jej ukradła narzeczonego. Mama zrobiła jeszcze nie jedno potem...

Przerwała. Stara podniosła się drżąc, nakazując rękami milczenie niegodziwej istocie. Klementyna wyjąkała: — Przepraszam, ciotko, jestem dziś zdenerwowana...

Już miała wyjść, gdy przypomniała sobie, że ma dla ciotki list z poczty. Po jej wyjściu siostra

Joanna została na środku pokoju z owym dużym listem w ręku. Dreszcz nią wstrząsał, w myśli poleciła się Bogu, by jej dał pokonać lęk i ból. Spojrzała na markę pocztową,—był z Rzymu. Otworzyła i przeczytała. Twarz jej stała się szara, głowa opadła na piersi.

Kiedy w godzinę później Gracja weszła do pokoju siostry, znalazła ją na zwykłym miejscu, pod balkonem. Trzymała na kolanach poduszkę od koronek, ale ich nie robiła, ręce jej obwisły, zdawała się nieprzytomna. Gracja siadła nawprost siostry.

— Co robisz? — zapytała obojętnie, żeby zacząć rozmowę.

— Nic, — odrzekła tamta słabym głosem.

— Czy ci niedobrze? Czy potrzebujesz czegoś — zapytała lodowato.

— Dziękuję, nic nie chcę, jestem zdrowa.

— Siedzisz tu sama, czy oddawna? Taka bylam zajęta, mam tyle kłopotów!

— Nikt nie jest samotny w towarzystwie Jezusa i Marji, — rzekła cicho zakonnica. Umilkły. Znać było, że Gracja miała coś ważnego do doniesienia siostrze.

— Luizol! — rzekła.

— Nie nazywaj mnie tak. Nazywaj mnie Joanną.

— Jak chcesz, Joanno, czy Luizol, mnie to wszystko jedno, bylebyś pamiętała, że jesteś moją siostrą.

Zakonnica, wyrwana ze stanu osłupienia, w jakim się znajdowała, spojrzała uważnie na siostrę.

— Tone, pogrążona jestem w kłopotach, Joanno. Z tej resztki, jaka mi została, nie jestem w stanie wyżyć z rodziną, ty to widzisz. Ale nie moja w tem wina. Sylvio zjadł cały swój majątek i część mojego. Co prawda, ja zawsze lubiłam błyszczeć, żyć dobrze, ale przysięgam, że nie roztrwoniłam dużo.

— Po co mi to mówisz, Gracjo, wszak te rzeczy znam.

— Nie znasz ich dobrze, nie znasz ich dostatecznie. Jesteś mniszka i nie rozumiesz całej doniosłości rzeczy światowych. Są kłopoty poważne...

— Niech ci Pan Bóg pomoże.

— Pomóż sobie, to ja ci pomogę, powiada Pan Bóg. Jeżeli nie wydam Klementyny za męża bogatego, jeżeli nie znajdę bogatej żony dla Franciszka, to co ja pocznę? Dlatego muszę prowadzić w świat dziewczynę, dlatego stroję z trudem Franciszka. Muszę znaleźć bogatą, bardzo bogatą partję dla jednego z nich. Dopiero wtedy będziemy zamożni i szczęśliwi, wszyscy, i ty Joanno...

— Ja tylko proszę Boga o spokój, — rzekła zakonnica z głębokiem westchnieniem. Gracja była podniecona, nerwowa, cały ten wstęp obłudny prowadził do wytkniętego celu.

— Na razie jestem w opałach, Joanno. Winnam komorne za cztery miesiące, czyli trzysta sześćdzie-

siąt lirów, po dziewięćdziesiąt miesięcznie, a gospodarz się domaga, już mnie pozwał dwukrotnie i lada dzień gotów zająć rzeczy.

— Och, Jezu!

— Tak jest, nie wstydzi się dopominać za swoje liche mieszkanie, z tym defektem grubym, jakie ono posiada.,.

— Z jakim?—spytała nieświadomie mniszka.

— Nic,—rzekła Gracja, spojrzawszy na dom ponury i milczący i zmieniając temat rozmowy.—Krótko mówiąc, mam sto lirów, które mogę dać gospodarzowi, ale on chce wszystko odrazu. Daj ty mi pozostałe wieście sześćdziesiąt lirów i wybniemy z sytuacji.

— Chętnie, Gracie, chętnie. Ale ich nie posiadam.

— Nie posiadasz? nie posiadasz?—wykrzyknęła złością.—Czy to możliwe?

— Nie posiadam, naprawdę.

— A cóżeś zrobiła z pieniędzmi?

— Z jakimi pieniędzmi?

— Z tysiącem lirów. Tu przecież nie płaciłaś ani grosza za utrzymanie. Gdzież więc podziałas owe tysiąc lirów?

— Wydałam je,—rzekła z prostotą mniszka.

— Gdzie je wydałaś? Tysiąc lirów to grosz,—i głos jej drżał ze złości i zawodu.

— O tak, po trosze, dawałam tobie... Franiowi, Franiowi dużo...

— Dałaś mi parę lirów zaledwie, a miałaś tysiąc. Po co dawałaś Franciszkowi? Ile mu dałaś? Czy już nic nie posiadasz?

— Zaledwie pięćdziesiąt, czy sześćdziesiąt lirów — odrzekła siostra Joanna, opuszczając ręce z rozpaczą.

— I jesteś goła! Wszyscyśmy golili! Pięćdziesiąt, czy sześćdziesiąt lirów, nie więcej! A ja cię utrzymywałam jak panią jaką! Od ust sobie odejmo wałam dla ciebie! Pięćdziesiąt lirów! Możesz sobie z nich zrobić kataplazm i dla mnie również. Przeszastałaś dziewięćset pięćdziesiąt lirów, to cię wygnają z domu. Wyrzuciłaś pieniądze, a jak ci będzie potrzeba sukni, bucików, kto ci je da? Żeby tak wyrzucić pieniądze! Byłaś zawsze warjatką, zawsze, już wtedy gdy wsta piłaś do klasztoru przez Sylvia...

Siostra Joanna zniosła spokojnie wybuch złości siostry, polecając się Bogu, by jej dał siły do wy trwania.

Jednakże to wyrzucanie jej biedy, dachu i życia jako jałmużny i to stałe przypominanie miłości dla Sylvia wzburzyło ją. Ręką schwyciła za różaniec i ścisnęła go konwulsyjnie.

— Więc co będzie teraz! — krzyknęła znowu Gracja. — Jak zapłacić komorne? Potrzeba nam bielizny, musimy sprawić toalety wiosenne, a ta ego istka rozrzuciła tysiąc lirów! Co robić? Ale ty nie masz serca, żadnej wdzięczności. Co to za mniszka! Zajmuje się tylko Jezusem Chrystusem. Temu niczego nie potrzeba. Pomyślmy raczej o ziemi. Tu trzeba

działać, *ty* musisz coś wymyśleć. Trzymałam cię przez rok darmo, teraz musisz mi przyjść z pomocą...

Siostra Joanna spojrzała z rozpaczą na siostrę.

— Znajdźmy lichwiarza, zaciągnijmy dług na twoje dwadzieścia tysięcy, podpisz weksel...—zaproponowała Gracja, doświadczona w tego rodzaju wybiegach.

— Jakie dwadzieścia tysięcy?

— Twój posag. Ten, co ci się należy od rządu, a który, jeżeli jesteś człowiekiem, powinnaś dać mnie i twoim siostrzeńcom.

Siostra Joanna podniosła głowę, zamknęła oczy na chwilę i wykrztusiła.

— Ja nie posiadam nic zupełnie.

— Jakto, co ty mówisz?

— Mówię, że nie posiadam nic.

— Oszalałaś chyba. Czy rząd niema ci zwrócić twoich pieniędzy?

— Rząd nie zwróci mi nic z mego posagu.

— Kto ci to powiedział, kto?

Straszna była w swej złości, niepokoju i rozczarowaniu.

— Napisali do mnie.

— Kto napisał? Zkąd?

— Oto list,—rzekła zakonnica, dając go siostrze.

Po przeczytaniu gorączkowem, nerwowem nastąpiło długie milczenie. Siostra Joanna była spokojna, Gracja wściekła.

— A więc skończone wszystko?—zapytała
 — Wszystko skończone,
 — Co ci dadzą miesięcznie? Czterdzieści jeden
 lirów?

— Tak, czterdzieści jeden lirów.
 Znowu milczenie.

— Z tego mieszkać, żyć, ubrać się, obuć! Jesteś bogata!—krzyknęła z pasją Gracja.

Joanna zrobiła ruch nieokreślony.

— Co zamierzasz uczynić? — zapytała Gracja skrzeczącym głosem.

Siostra drgnęła i spojrzała na nią.

— Ja mam dzieci, skąpe środki, utrzymywać cię nie mogę, — ciągnęła dalej sucho i okrutnie. — Wydałam za dużo, żałuję, tak dalej trwać nie może. Z twoich czterdziestu lirów nic mi nie przyjdzie. Potrzebuję więcej. Co więc uczynisz?

— Pójdę sobie.

— Dobrze, żeś zrozumiała. Trzymałam cię miesiąc, nikt mi nie może nic zarzucić. Roztrwonilaś tysiąc lirów, a kto z nich widział choć centa? Twoich czterdziestu lirów nie chcę, a im prędzej rozwiążemy sprawę, tem lepiej.

— Odejdę jutro.

Pełna złości i jadu Gracja wyszła z pokoju. Siostra Joanna została jak skamieniała. Na odgłos oddalających się kroków siostry, rzuciła się na łóżko z jękiem, ze łzami i gryząc poduszkę łkała: Matko Bolesna! Matko Bolesna! Matko Bolesna!

Dniało. Czyste zimowe niebo z ciemnego, gwiazdowego, stawało się jasne, prawie mleczne. Ciszę śpiącego miasta przerywał od czasu do czasu jakiś krzyk, bliski lub daleki. Świt zaglądał przez balkon siostry Joanny, która nie spuszczała nigdy rolety, gdyż przywykła w klasztorze wstawać z pierwszym brzaskiem na modliwy poranne. Sen miała tej nocy bardzo krótki i niespokojny. Parokrotnie zdawało jej się, że słyszy hałasy, jak już nieraz, jakieś głosy pijackie, jakieś krzyki, świsty. Schowała głowę pod kołdrę. Czuła się bardziej nieszczęśliwa niż w chwili wygnania z klasztoru, czuła przepaść pod nogami, upadek najokropniejszy i to ją czyniło bardziej jeszcze nieśmiałą i lękliwą. Nastąpiła cisza, pozostał tylko niepokój jej duszy. Odbyla zwykle swe modły, jak to czyniła od lat czterdziestu i poszła na palcach do kuchni, by sobie odgrzać ~~kuchę~~ ^{skórkę} wczorajszej kawy. Na picie kawy, co sobie za grzech poczytywała, otrzymała dyspensę od spowiednika, ze względu na zdrowie. Podczas gdy kawa się grzała, pomyśla i powycierała brudne szklanki, pozostałe z dnia wczorajszego. Wtem posłyszała gwałtowne trzaśnięcie drzwiami na drugim piętrze, szklane drzwi, prowadzące do mieszkania adwokata zamknęły się z takim impetem, że zdawało się, iż wszystkie szyby powypadały. Siostra Joanna spostrzegła człowieka około lat czterdziestu, schodzącego szybko z kapeluszem wciśniętym na oczy. Powoli, chwiejnym krokiem szła za nim, opierając się o mur, ta sama pani, którą

widziała już parokrotnie. Szła wolno i łzy padały jej na policzki. Mężczyzna o surowej twarzy patrzył na nią z gorzkim uśmiechem. Przeszli, zniknęli. Staruszka, mimo swej naiwności, przeczuła, iż to musi być mąż tej pani, że odkrył jej występki i prowadzi ją na długie i okrutne męczeństwo, może na śmierć;—przeżegnała się.

Wróciwszy po cichu do swego pokoju, powzięła postanowienie. Dziś ma wyjść stąd, nie wie dokąd, ale wyjdzie. Odczytała raz jeszcze list Ministerstwa, w którym jej doniesiono, że zgodnie z prawem o związkach religijnych przysługuje jej miesięczna pensja, czterdzieści jeden lirów, płatnych co miesiąc w Neapolu, w urzędzie dobroczynnym i że powinna się zgłaszać po nie z odpowiednimi dokumentami, każdego dwudziestego siódmego dnia miesiąca. Dziś był dwudziesty lutego. Otworzyła portmonetkę i zliczyła pieniądze, pozostałe jej po wydatkowaniu na rodzinę; miała zaledwie pięćdziesiąt siedem lirów. Zupełnie nie wiedziała ile kosztuje mieszkanie i życie. Złożyła list i postanowiła wyjść stąd; więcej nic nie wiedziała.

Rozejrzała się w około. Jakkolwiek mieszkała tu prawie od roku, nie lubiła tego pokoju i tej ulicy, której dochodziły głosy, przekleństw i przykre zapachy. Żał jej tylko było kącika przy balkonie, gdzie spędziła wiele godzin w ciszy i rozmyślanii. Ze zdziwieniem spostrzegła w mroku porannym jakąś osobę, kryjącą się za ścianą przeciwległego domu. Był to młodzieniec przeszło dwudziestoletni, ubrany jak ro-

botnik, który, z czapką naciągniętą na oczy i rękami w kieszeniach, wpatrywał się uparcie w bramę owego domu, a patrzył tak ostro, że zakonnicę dreszcz przebiegł, nie wiadomo czemu. Chciała oprzeć się ciekawości, nie patrzeć na niego, odsunęła się od balkonu, aby pozbierać swoje książki, obrazki, szkaplerze. Ale, poskładawszy wszystko w białe poscieradło i spiąwszy szpilkami, powróciła znowu do okna. Młodzieniec stał zawsze na tem samym miejscu i czekał. Cały ukryty, wychylał tylko od czasu do czasu ostrożnie głowę, jak zwierzę, gdy się przygotowuje do skoku. Mniszka, coraz bardziej wystraszona, czuła, że tu się stanie coś okropnego, ale nie rozumiała przyczyny.

Nareszcie u progu ukazał się młodzieniec, ubrany w strój marynarski, nie patrzył ani w lewo, ani w prawo, i poszedł wprost przed siebie. Człowiek czający się wyciągnął prawą rękę z kieszeni, pobiegł pędem za marynarzem, i rzucił się na niego jak tygrys. Ten nie wydał głosu, nie drgnął, i padł jak długi na ziemię z nożem w gardle. Napastnik uciekł.

Krzyk straszny wyrwał się z piersi zakonnicy. W tej samej chwili otwarły się żaluzje balkonu naprzeciwko i jakaś postać kobieca ukazała się, rozglądając się dokoła. Marynarz leżał zaledwie o kilka kroków w kałuży krwi, z twarzą białą i oczyma przymkniętymi. Widząc to kobieta zaczęła krzyczeć z rozpaczą: January! January! January! Przybiegły na balkon inne kobiety, zaczęły również krzyczeć January, January, January! Wszystkie były jednakowo ubrane, miały nogi

bose w pantoflach, policzki uróżowane, oczy podczer-
nione, włosy utrefione pretensjonalnie.

Siostra Joanna widziała to wszystko, widziała
dwóch mężczyzn wybiegających z bramy, widziała za
balkonem duży salon z kanapami czerwonemi i lu-
strami w złożonych ramach; zrozumiała nagle, co było
potwornego, wstrętnego w tym widoku. Ze wstydu,
z oburzenia, ze wzruszenia, padła na ziemię, jak martwa.

III

Zapukano lekko do drzwi.

— Proszę wejść, — rzekła siostra Joanna od Krzyża, cichym głosem, nie przerywając różańca.

Weszła Konstancja de Dominicis, wdowa, która wynajmowała zakonnicy za dwadzieścia lirów miesięcznie, izdebkę. Była to osoba pięćdziesięcioletnia, chuda, brzydka, ale w żywych jej oczach malowała się dobroć.

— Dlaczegoście nie przysli dziś, siostro, odgrzać mleko?

— Nie wzięłam go wcale.

— Dlaczego? Czy przez abstynencję?

— Nie, nie, — odrzekła żywo staruszka, która brzydziła się kłamstwem, — nie przez abstynencję. Ot tak... nie kupiłam...

Nastąpiło milczenie. Konstancja przyjrzała się bacznie zakonnicy i zobaczyła na jej twarzy głębokie bruzdy, coraz głębsze.

— Siostro Joanno, czemu nie mówicie prawdy, przed kim się ukrywacie? Kogo się wstydzicie? Czy ja też nie jestem uboga? Nie kupiliście mleka, bo brak wam pieniędzy...

— Tak, — szepnęła biedaczka. — Mam jeszcze parę groszy, ale jeżeli mam dociągnąć do dwudziestego siódmego, to muszę się bardzo oszczędzać.

— To znaczy, że chcecie suszyć. — Zróbcie największą oszczędność i przenieście się na tamten świat.

— Oby Bóg dał!

Jakże się zmieniła biedaczka. Pochyliła się mocno w ramionach, ręce stały się starcze, i drżały niejednokrotnie. Ubranie jej również zdradzało czas miniony, suknia w fałdach stała się zielonkawa, wypłowiła, opaska i kołnierzyk, zbyt często prane, wyżółkły, płaszczyk, przez oszczędność, służył tylko do wyjścia i było jej zawsze zimno. Kaptur wyszarpywał się i choć naprawiała wszystko, widziała z bólem, że służyć już nie chce.

— Siostro zakonna, musicie się zdecydować coś robić nareszcie, — rzekła nagle Konstancja. — Jakże chcecie żyć w ten sposób?

— Zdecydować się na co?

— Starać się coś zarobić. Z czterdziestu jeden lirów miesięcznie wyżyć nie można.

— Ja wiem — odrzekła ze snutkiem. — Nie ma nawet i czterdziestu jeden, jest trzydzieści osiem i pół po strąceniu podatku.

— Co za podły rząd. Jeszcze strąca, to hańba. Musicie zacząć pracować, siostro.

— Jestem gotowa. Ale co mam robić? Pójść do służby? Jestem stara i nikt mnie nie weźmie. Jeszcze w tem ubraniu, na które patrzą z ukosa. Niema już religji, śmieją się ze mnie, biorą za przebraną mniszkę... Nie wiecie wcale, co cierpię...—i głos jej załamał się w łkaniu.

— Czy nie moglibyście sprzedawać koronek, które robicie?

— Co dadzą za to? Zresztą nie znam nikogo. Po ulicach koronczarki sprzedają, a ja się wstydę wyjść na ulicę w tem ubraniu. Kto by je kupił, kto?

— Czy nie kupiła kilku metrów przed paru miesiącami pani z drugiego piętra?

— Tak jest, dała mi dziesięć lirów za osiem metrów. Ile się nad nimi napracowałam. Ale dziesięć lirów, to dziesięć lirów i bardzo mi się przydały. Mogłam sobie kupić trochę muślinu na opaskę. Codzień błagam Chrystusa o przebaczenie za te nędzne szaty, które już nie podobne do zakonnych. Ah! powinienam nie jeść, suszyć i sprawić sobie ubranie święte, to wstyd doprawdy.

Biedna staruszka zakryła twarz rękami.

Konstancja wzruszona, przyglądała jej się ze łzami w oczach.

— Czy nie macie już koronek, siostró?

— Owszem, mam na cztery poduszki i kołdrę. Nie są nadzwyczajne, bo już mi oczy nie służą, ale wyglądają dobrze.

— Janek nigdy nie ma czasu,—zaczęła Concetta.—
Wpada nieraz dwa, trzy razy na dzień, czasem siedzi
parę godzin, czasem minutkę. Nie można nic prze-
widzieć.

— A dlaczego tak robi? — powiedziała siostra
Joanna, ot tak, żeby coś powiedzieć.

— Bo jest zazdrosny, strasznie zazdrosny. Ma
mnie Bóg wie za co.

— A pani taka dobra.

— Teraz jestem dobra, dawniej nie. Wy, siostro,
tego nie możecie zrozumieć, to są grzechy, któreby
was przejęły zgrozą. Żyłam źle, nie z mojej winy,
byłam głupia, nie mogę wszystkiego powiedzieć. Nie
dziwię się, że mnie podejrzewa, robi sceny, byłam
zatracona.

— Czy często krzyczy na panią?

— Bardzo często, bije mnie nieraz.

— Ale pani mu nie daje powodu?

— Nie, jestem niewinna. Biję mnie przez za-
zdrość, a ja przyjmuję wszystko. Co mam robić?
Kocham go, jestem mu wdzięczna za wszystko, co
dla mnie uczynił. Żyję jak pani, jem, piję, śpię, je-
stem obsłużona.

— Więc kocha panią i dokucza jej?

— Jest to dowodem miłości, siostro.

— A czemu się z panią nie żeni? — zapytała
naiwnie zakonnica.

— Ożenić, co też to mówicie,—i parsknęła śmiechem.

— Żeby panią wydobyć z grzechu.

— Z jakiego grzechu? Ja nikomu nic złego nie robię, siostró.

— Żeby pani zapewnić przyszłość.

— O! co to, to macie słuszność, siostró. Nigdy nie można być pewnym niczego w życiu. Nieraz myślę, że Janek mógłby mnie porzucić. Jeżeli nie przyjdzie przez dzień, jeżeli nie nie mówi, jest w złym humorze, lękam się i martwię.

— Niech się pani nie martwi,—rzekła zakonnica niezadowolona z rozmowy.

— Owszem, gryzę się. Tak mi tu dobrze, a tyle się już nacierpiałam. Coby to było, gdyby mnie porzucił, coby się ze mną stało?

— Jeżeli panią kocha....

— Kocha, kocha... ale widuje tyle innych kobiet, które mu się mogą podobać... jego rodzina jest mi wroga... czy ja wiem, czy mnie kocha?

— Niech Bóg pani dopomoże,—rzekła zakonnica, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Tak, tak Bóg mi dopomoże, oddaję się w wasze ręce, nie opuszczajcie mnie, może damy na mszę, jak myślicie?

— W jakim celu, córko moja?

— Żeby mnie Janek nie opuścił, inaczej jestem zgubiona.

— Ale co powiedzieć księdzu. Nie mogę mu przecież powiedzieć wszystkiego?

— Bóg wie, o co idzie. Powiedzcie, że to na intencję pobożnej grzesznicy i dajcie pięć lirów na

jałmużnę przy każdej mszy. Właśnie jutro jest niedziela. Idźcie dziś siostró.

— Jak pani sobie życzy.

— Pójdę po dziesięć lirów,—rzekła podnosząc się z kanapki. Ale po co żeście przyszli, siostró, czegoście chcieli, co tam ukrywacie pod płaszczem?

Chwyciła pudełko, otworzyła je i przyglądała się bacznie koronkom.

— To na łóżko, prawda. Nie mogę zapłacić dużo, tyle, co warte...

— Ile pani zechce,—szepnęła mniszka niepewnym głosem i ręce jej zadrżały.

— Czy wystarczy dwadzieścia lirów? To mało, ja wiem, ale nie potrzebujecie chodzić z niemi. Niechaj wystarczy.

— Zadowolnię się wszystkiem. Oddałabym je pani darmo, gdybym mogła, bo pani dobra i pobożna. Ale jestem bardzo biedna...

Concetta przyniosła trzydzieści lirów.

— Mam jeszcze trochę pieniędzy,—rzekła jakby do siebie, ale jeżeli Janek mnie porzuci, nie wystarczy na więcej, niż na rok lub dwa...

— Biedna, biedaczka!

Concetta tym razem pochwyciła w swe delikatne, białe ręce, starczą rękę siostry Joanny i ucałowała ją.

Chora jęknęła na łóżku. Siostra Joanna wstała z krzesła i nachyliła się nad nią.

— Czy potrzeba wam czego?

— Pić chcę.

Zakonnica ułala trochę wody z szklanki, w której mokła skórka od chleba i podała na łyżce chorej do ust. Ta była tak osłabiona, że nie mogła nawet unieść głowy od poduszki. Wyczerpana okropnym krwotokiem po ciężkim porodzie, leżała wyciągnięta z jedną tylko poduszką pod głowę, z kolanami podwieszionymi, aby zapobiedz nowemu krwotokowi, który mógłby być śmiertelny. Chora była mieszkanką trzeciego piętra, tego samego domu co siostra Joanna, miała lat trzydzieści cztery i z mężem swym, urzędnikiem banku, żyli lat dziesięć bezdzietni, wystarczając tem, co on zarabiał i co pochodziło z jej posagu. Najniespodziewaniej przyszło dziecko i biedna kobieta, niezależnie od cierpień niepokoiła się, jak sobie nadal dadzą radę w obec szczupłych dochodów. Zgodzili mamkę, gdyż karmić nie było jej wolno, a lekarz oświadczył, że po tak ciężkim porodzie, potrzebna na jakie trzy tygodnie pielęgniarka, któraby nie spuszczała z oka chorej, bo obawa nowego krwotoku nie była wykluczona. Biedny mąż zwrócił się do siostry Joanny, wiedząc, że tańszą będzie od zawodowych sióstr miłosierdzia. Stara zakonnica zmieszała się na tę propozycję, nigdy nie pielęgnowała chorych, nie wiedziała, co to czuwać w nocy, a przytem położnica sprawiała jej fałszywy wstyd.—Jak zwykle pani Konstancja wpłynęła na nią, tłumacząc, że obowiązkiem chrześcijańskim jest pomiędzy innemi i opieka nad cho-

rymi, a różne klasztorne przesady powinna sobie wybić z głowy, jeżeli pragnie zarobić cośkolwiek. Bezwolna, przywykła do posłuszeństwa i zmuszona pracować ciężko, zdecydowała się i poszła na czwarty dzień po położu. Widok chorej delikatnej, wyczerpanej, cichej i spokojnej, tak wzruszył jej biedne, stare serce, że oddała się całą duszą wykonaniu obowiązków, nigdy nie spełnianych.

— Jaka niesmaczna ta woda,—szepnęła chora.

— Doktor nie pozwolił dawać wody surowej.

Czy pani chce jeszcze czego?

— Chcę, żebyście usiedli bliżej mnie, siostro.

Siostra Joanna przysunęła się z krzesłem do samego łóżka. Zegar na stoliku wydzwonił dziesiątą godzinę.

— Co robi mój maleńki,—spytała chora, otwierając oczy.

— Przed chwilą spał w kołysce. Czy mam pójść zobaczyć?

Położnica przytaknęła opuszczając powieki. Była tak wycieńczona, że liczyła się z każdym wyrazem. Siostra zbliżyła się znowu.

— Obudził się przed chwilą, teraz ssie.

— Ssie dobrze?

— Zaczyna powoli,—odrzekła drżąc siostra.

— Czy jest bardzo wątlly?

— Nie wydaje się wątllym.

— Co siostra wie o tem.—Nastąpiło milczenie.

— A co porabia Kajetan?—zapytała trochę nie-spokojnie.

— Mąż pani z papierami przeniósł się do jadalnego pokoju.

— Biedaczek—rzekła Marja zdenerwowana.

— Niech się pani uspokoi, niewolno mówić tak dużo, nie wolno się ruszać.

Chora zamknęła oczy, zdawało się, że zasypia i leżała nieruchomo przez godzinę, oddychając cicho i równo.

Siostra Joanna też była senna, mimo że wypita filiżankę mocnej, czarnej kawy. Zdrzemnęła się, gdy chora odezwała się znowu.

— Siostro?

— Co pani?

— Dotknij mi czoła i ręki.

Siostra dotknęła czoła, było zimne, ręce również bardzo zimne, lodowate.

— Chciałabym wiedzieć, czy mam gorączkę?

— Niemożliwe, zanadto pani osłabiona.

— Nie mam gorączki?

— Co znowu?

— Zdawało mi się, że mam gorączkę,—uparcie powtarzała chora. Potem zamilkła, zamknęła oczy i zdawało się, że śpi znowu. Mąż wszedł później na palcach, zobaczyć, co porabia.

— Czy śpi?—zapytał cichutko.

— Śpi.

— Chciałbym się położyć, umieram ze zmęczenia i troski. Gdyby się cośkolwiek stało, proszę mnie wezwać koniecznie.

— Niech pan będzie pewny.

— Malec śpi spokojnie, niech Bóg go ma w Swej opiece i zachowa mu matkę.

Kajetan wyszedł; była północ.

Chora spała cichutko. Siostra Joanna ostrożnie przyprowadziła pokój do porządku, usiadła na swoim miejscu i skończywszy pacierze, zasnęła jak kamień.

Syczenie lampki nocnej, syczenie znane jej z czasów klasztornych, zbudziło ją gwałtownie. Nalała oliwy i spojrzała na chorą, która przyglądała się jej szeroko rozwartemi oczami.

— Czy pani dobrze spała?—zapytała.

— Wcale nie spałam, — odpowiedziała dziwnie silnym głosem chora;—rozmyślałam dużo.

— Niech pani nie mówi tak głośno. Pani się męczy. Trzeba milczeć i spać, sen panią uzdrowi.

— Sen mnie zabija. We śnie mogę umrzeć, zanim się siostra spostrzeże. Pamiętajcie, żeby mnie wstrząsać, wołać mnie, gdy śpię, abym nie umarła.

— Dobrze, dobrze, ale niech pani nie mówi, — szepnęła zakonnica, starając się zmusić ją do leżenia spokojnie. Czoło i ręce stawały się coraz zimniejsze. Uspokoila się na chwilę, ale nie zasnęła i nie zamknęła oczu.

— Myślałam o wielkich morzach. Chcę oddać syna mego do marynarki. Tak, Wiktor, tak go jutro ochrzczą,

pojedzie w dalekie strony. Będę bardzo płakała przy rozłączeniu, będę drżała przy każdej burzy i polecę go Marji. Ale co za radość, siostró, gdy powróci zdrów, cały, piękny jak anioł, jak bohater...

— Niech pani tyle nie mówi, — rzekła siostra, którą chora ścisnęła mocno za rękę.

— Będę miała jeszcze więcej dzieci, zobaczycie, i za każdym razem stracę potoki krwi, ale uzdrowicie mnie, nieprawdaż, nie opuścicie mnie i doktor, i wy siostró!

— Na miłość boską, niech pani tyle nie mówi.

— Czego się lękacie? Czuję się doskonale. Czyż nie widzicie. Powiedzcie to Wiktorowi.

— Śpi maleństwo, zresztą nie pojąłby.

— Oficer marynarki rozumie wszystko, droga siostró. To wy nie rozumiecie pewnych rzeczy. Mniejsza o to. Może powiecie to mężowi.

— Śpi biedak, taki był zmęczony.

— Wiem. wiem. Pisał powieść cały wieczór, widziałam to stąd. Czy myślicie, że w banku są zadowoleni z tego. Nie. To piękny romans, piękny, ale bardzo smutny!

— Niech pani nie mówi, błagam.

— Kiedy mam się doskonale i muszę wam opowiedzieć, co to za romans, taki bardzo smutny, który układa Kajetan. To nasza historia, historia naszej miłości, opowiem wam...

— Nie, nie chcę jej słyszeć, pani musi milczeć, ze względu na dziecinę.

— Niech będzie błogosławiona. Nie chcecie usłyszeć naszej historii? Może się wstydzicie słuchać o miłości. Wyście nigdy nie kochali, siostrzo? Nie odpowiadacie? I wyście kochali i wasza historia może jeszcze smutniejsza od mojej.

— Czy pani chce koniecznie się unieszczęśliwić, zachorować poważnie, umrzeć może, — rzekła wystraszona, nie wiedząc, jak uciszyć chorą, nie mogąc z objąć jej lodowatych wyrwać ręki?

— Umrę, — rzekła spokojnie.

— Co pani mówi?

— Mówię, że umrę.

— Kiedy Pan Bóg zechce, nie teraz, dla męża, dla dziecka.

— Umrę, taki będzie koniec tej smutnej historii Kajetana. On tego nie wie, ale ja wiem. On myśli, że koniec będzie wesóły, ale ja wiem, że umrę.

— Kto pani opowiada takie rzeczy? Po co myśleć o tem. Proszę się uspokoić, zamilknąć.

— Powiedział mi je mój syn, Wiktor.

— Syn pani?

— Tak mój syn, oficer. Był tu przed chwilą, tuż przy łóżku, wyciągnął do mnie rączki, z których jedna dotknęła mojej twarzy. I patrzył na mnie tak bolesnym wzrokiem, że odrazu zrozumiałam, że widział matkę nieżywą.

— Jeżeli pani nie zamilknie, pójdę obudzić męża! — krzyknęła z rozpaczą zakonnica.

— Nie wołajcie nikogo. Dajcie mi eteru... eteru pręciutko...

Westchnęła głęboko i zemdlała.

Dniało. Wtedy dopiero siostra Joanna zrozumiała, że chora bredziła przez noc całą, bez gorączki z lodowatemi rękami i czołem.

Sędzia Notargiacomo, który mieszkał na czwartym piętrze tego samego domu, zgodził się przyjąć do służby siostrę Joannę, poleconą mu gorąco przez panią Konstancję. Ale nie zdecydował się odrazu; biedaczka kilkakrotnie chodziła na umowę, z której wracała zniechęcona i zrażona jego tonem podejrzliwym i brutalnym. Dziwny to był człowiek. Mieszkał w tem mieszkaniu od ośmiu miesięcy i nie przyjął nigdy nikogo, ni krewnych, ni przyjaciół. Stróż miał surowy nakaz nie puszczać nikogo. Otrzymywał parę dzienników i niekiedy listy, czasem list z zapłaconą odpowiedzią. Meble miał nie jak w mieszkaniu kawalerskiem, pełno cacek, łóżko bogate małżeńskie. Nie wiadomo, czy był żonaty, czy wdowiec, był zamożny, miał dużą pensję i jakąś nieruchomość, a żył jak skąpiec, źle ubrany, obiady przynoszono mu z drugorzędnej jadłodajni, nigdy nie bywał w teatrze. Nawet z siostrą, która miała sprzątać mieszkanie, prać i naprawiać bieliznę, targował się mocno, ostatecznie zgodził się płacić jej piętnaście lirów miesięcznie. Nie rozmawiał z nią prawie nigdy, przy jedzeniu czytał, by nie mówić, tylko wychodząc, codziennie powtarzał:

— Proszę nie wpuszczać nikogo, nikogo, nawet, gdyby się powoływał na mnie.

Nieraz jej groził,—biada jej, jeżeli kogoś wpuści.

— Po moim trupie,—odpowiadała stara.—Przypuszczała, że sędzia lęka się złodziei; gdy przychodził, dzwonił bardzo mocno, albo bardzo słabo i wpadał niespokojny.

— Czy tam kto jest?

— Niema nikogo.

— Czy nikt nie był, czy jesteś pewna?

— Najpewniejsza.

Stara służąca wchodząc nieraz rano do pokoju sypialnego, by podać oczyszczone buty i ubranie, zastawała go przy otwartem biurku z głową spuszczoną nad kasetką, w której szperał rękami. Gniewał się na nią bardzo, ilekroć zastawała go w tej pozycji i dokuczał jej mocno.

A jednak mimo wieku, który jej się dał mocno we znaki, mimo czterech piętr i tych dokuczań, mimo to, że nie dawał jej prócz pensji nawet kawałka chleba, czuła się wcale nieźle. Woląta tę służbę, niż sprzedawanie koronek, niż pielęgnowanie chorych. Pensję swoją zarabiała ciężką pracą, zwłaszcza, gdy przychodziło pranie i prasowanie koszul, była za stara, by móżdź stać tak długo, i nieraz musiała usiąść, bez ruchu, z głową spuszczoną. Ale te parę groszy dodatku do emerytury, pozwalały jej jadać kawałek mięsa w niedzielę, zapalić lampkę przed krucyfiksem, dać jałmużnę co piątek.

W połowie czwartego miesiąca swego pobytu w domu sędziego, gdy sprzątała rano w salonie, usłyszała pukanie do drzwi. Nie bez drżenia poszła otworzyć, tem-
więcej, że zakazy otwierania były coraz usilniejsze. Nie otworzyła, lecz uchyliła drzwi. Miły, słodki głos kobiety zapytał.—Czy jest sędzia? — Nie, niema,— i chciała drzwi zamknąć.

— Dobrze, to wejdę i zaczekam, — rzekła najspokojniej młoda, strojna dama, odsunęła zakonnice, zamknęła drzwi i weszła. Siostra Joanna zaczęła bąkać:

— Nie wolno wchodzić... nie wolno... sędzia nie wpuszcza nikogo... czy pani rozumie?

— Jestem i zostanę, — rzekła piękna pani z uśmiechem i weszła do salonu; staruszka nie dała jej się posunąć.

— Na miłość boską, niech pani sobie pójdzie... to nie pani dom... sędzia nie przyjmie nikogo!

— Czyście oszaleli?

— Nie jestem warjatką, ale pani wyjść musi!— krzyknęła zgryziona.

— Cicho, stara warjatko!

— To nie pani dom, jeżeli pani sobie nie pójdzie, będę wołać ludzi,—krzyczała zrozpaczona.

Młoda pani powoli zwróciła się do mniszki, spojrziała jej zimno w oczy i zapytała:

— A ty kto jesteś?

— Jestem służącą, ale mam surowy rozkaz nie wpuszczania nikogo i będę krzyczeć przez okno.

— A czy wiesz, kto ja jestem? Jestem żoną sędziego i tu u siebie w domu. Teraz ty wyjdź!

Przerażona, drżąca siostra Joanna, przyglądała się przybyłej w milczeniu. Ta wzięła ją za rękę i otwórzysz drzwi, wypchnęła ją na zewnątrz.

— Ja tu jestem u siebie, a ty idź sobie!

O piątej po południu siostra Joanna doczekała się powrotu sędziego na pierwszym piętrze, przed swoim mieszkaniem. Na jej widok, w niezwykłym miejscu zadrzał i zatrzymał się.

— Powiedz prawdę, powiedz prawdę,—krzyknął— tam ktoś jest?

— ...Tak,—odrzekła nieszczęsna.

— Jakaś pani, a tyś ją wpuściła, tyś ją wpuściła!..

— Weszła sama, a mnie wyгнаła, mówiąc, że jest pańską żoną.

— To prawda,—rzekł biedny, nieszczęśliwy człowiek i nisko pochylił głowę.

W upalne popołudnie lipcowe siostra Joanna wracała wolniutko z urzędu, gdzie brała swoją pensję miesięczną. Długa droga zmęczyła ją bardzo. Ledwie ciągnęła nogi za sobą i musiała raz po raz opierać się o mur, zanim doszła do domu. W przybieciu swoim nie zauważyła grupki ludzi, stojących przed domem i rozmawiających z ożywieniem, ani wchodzących i wychodzących. Z trudem dowlokła się do pierwszego piętra i zadzwoniła z wysiłkiem. Pani

Konstancja, z twarzą zapłakaną otworzyła drzwi i usiadła naprzeciwko siostry, nie mówiąc ani słowa, ale obie z twarzy swych wyczytały smutek niezgłębiony.

— Co się stało?—zapytała siostra Joanna.

— Dużo złego, dużo złego, droga siostro — odpowiedziała pani Konstancja, — gryząc wargi, by nie wybuchnąć płaczem.

— Co takiego? Wszak pani zdrowa. Henryk chyba także?

— Tak, tak zdrow, to nie o to chodzi.

— A więc cóż takiego?

— Coś, na co żeśmy nie zasłużyli, ani ja ani on, pracując tak ciężko, odmawiając sobie wszystkiego.

— Niech pani powie, jestem wprawdzie bardzo, bardzo biedna zakonnica, ale może jednak znaleźć słówko pociechy.

Pani Konstancja nie odpowiedziała zrazu, płacz gwałtowny wstrząsnął całą jej osobą. Siostra, przerażona, zapytywała ciągle:—Co się stało, co się stało?

— Klęska, siostro, klęska! Wiecie, że Henryk miał zdać ostateczny egzamin z medycyny, byłby się postarał o posadę gdzieś w okolicy i bylibyśmy pojechali razem...

— No i co?...

— Obcięli go dziś rano z dwóch najważniejszych przedmiotów.

— Więc nie zdał egzaminu?

— Obcięli go. Pomyślcie, obcięli mego syna, który pracował dziewięć, dziesięć godzin dziennie, zrywał się po nocach, biedaczysko, taki pracowity, taki dobry, taki zdolny, obcięli go, obcięli go z dwóch przedmiotów!

— Jak się to stać mogło?

— Krzywda, siostró, krzywda niesłychana! Dwaj zbóje, nie profesorowie, nikczemni ludożercy, nie chce się już wcale żyć!

— I niema na to sposobu?

— Jakiż sposób, jaki? Stypendjum kończy się teraz w lipcu, a odpalonemu, jak mój biedak, kto da cokolwiek. Jak doczekamy przyszłego roku? Z czego żyć będziemy? Czem opłacimy mieszkanie? Jeszcze cały rok, siostró, bo w listopadzie niepodobna podać się do poprawki. Chłopak jest zrozpaczony; dziś rano jak wrócił do domu, zemdłał mi na rękach, on, ten silny człowiek. Dziecko moje, zabili cię. Co z nami się stanie przez ten rok?

— Co się z nami stanie, — rzekła bezzwiednie zakonnica.

— Cała moja nadzieja była w tym egzaminie ostatecznym i zabijałam się pracą, by mu pomagać, podtrzymywać jego siły. Wszystko na próżno! Wszystko nadaremnie. Ci dwaj kaci uniwersyteccy zabili i mnie i jego.

— Niech pani tak nie mówi, Bóg jest dobry i wejrzy w to, — rzekła swym monotonnym, bezbarwnym głosem zakonnica.

— Bóg powiada, pomóż sobie, a ja ci dopomogę. Co możemy zrobić więcej, by sobie dopomódz? Jesteśmy zabici, siostró, zarżnięci.

— Szczęśliwi ci, co umarli,—dodała z głębokiem westchnieniem zakonnica.—A gdzie jest w tej chwili wasz syn?

— Leży na łóżku biedaczek. Posłałam po doktora, gdy zemdłał. Na szczęście znalazł się lekarz na podwórzu, wezwany do tego domu. Kazał mu dać rumianku z koniakiem. Słakaliśmy się oboje i wyściskali, wypieściłam go, jak kiedy był małym dzieckiem.

Zamilkły wpatrzone w siebie ze smutkiem.

— Gdy biegłam po lekarza, spotkałam na schodach Concettę, która szła do nas, pożegnać mnie i was siostró.

— Pożegnać, dlaczego?

— Bo opuszcza nas.

— Odchodzi, dokąd?

— Nie wiem, ona nawet sama nie wie.

— Czy wybiera się w podróż i wróci?

— Nie, niewróci, już jej pewnie nigdy nie zobaczymy.

— Opuszcza dom w lecie.

— Nie opuszcza z własnej woli biedactwo, kazano jej wyjść, Bóg wie z jakim bólem, ale musiała. Meble już były zabrane, a klucze miała oddać dziś w południe.

— A więc jej... jej mąż, umarli?

— Nie, ma się jak najlepiej. Żeni się z porządną dziewczyną i porzucił ją.

— Oh, nieszczęśliwa—zawołała siostra składając ręce.

— Bardzo nieszczęśliwa. Gdybyście ją [byli widzieli,] siostro, kiedy schodziła ze schodów i zegnała się ze mną! Wyglądała jak cień! Gdybym nie była miała własnego zmartwienia, byłabym starała się ją pocieszyć.

— Niceście jej nie powiedzieli?

— Cóż mogłam powiedzieć? Dla mnie Henryk jest wszystkim, nie rozumiałam nic w danej chwili. Żal mi było biedaczki, taka była blada. Kazała was pozdrowić i pożegnać... i prosić, byście się za nią wstawili do Matki Bolesnej.

— Polecę ją. Ale co się z nią stanie?

— Ba! Stanie się tem, czem była kiedyś.

— Matko Boska, zlituj się nad nią.

Pani Konstancja weszła na chwilę do sąsiedniego pokoju zobaczyć, czy syn śpi.

— Śpi, ale wzdycha, rzuca się we śnie. Co oni zrobili z tego chłopca, ci niegodziwcy. A jeżeli się rozchoruje? Przez sen gadał bez sensu, przeleżałam się...

— Tak jak pani Marja, bredziła w gorączce. Ale to przejdzie, te rzeczy przechodzą.

— Jej nie przeszło, — rzekła ponuro pani Konstancja, — nawet wróciło.

— Co wróciło?

— Majaki.

— Wszak była zdrowa potem.

— Zdawało się, że zdrowa. Nie spotkaliście jej nigdy? Taka była blada, osłabiona i, jak powiada mamka, ręce miała zawsze zimne.

— Spotykałam ją, ale nie wyglądała, jakgdyby miała zapaść ponownie.

— Nie zapadła, tylko nigdy nie była zdrowa od owego czasu.

— Zwykle w nocy obłąd jej wracał, potem przechodził. Mąż, wystraszony, nie powiedział nigdy nikomu. Potem zaczęło ją napadać i w dzień...

— O Jezu, Jezu.

— Aż wreszcie zwarjowała, jak mnie powiedział dziś lekarz.

— Zwarjowała?

— Tak. To bywa niekiedy po porodzie. Ciągłe jej się zdaje, że jej syn jest na morzu podczas burzy, wzywa pomocy, a ona nie może się podnieść, bo umiera...

— Tak jak owej nocy, zupełnie tak samo.

— Zabrali ją wczoraj wieczorem w wielkiej tajemnicy. Pan Kajetan płakał. Wzięli ją nie do domu warjatów, ale do prywatnego zakładu, pod specjalną opiekę, za grube pieniądze...

— Może się wyleczyć?

— Być może, że wyzdrowieje. Ach siostró, siostró, już nie mam sił. Co zrobię z tym chłopcem, jak go wyżywię przez rok. Gdyby nawet znalazł pracę, czyż może pracować i uczyć się zarazem? To kara za moją próżność, chciałam mieć z niego doktora, zamiast, żebyśmy zostali na wsi i był chłopem przy

tym braku środków. Tu niema pracy dla nikogo, jak tu wyżyć? Oh! gdyby nie Henryk, zrobiłabym to samo, co sędzia z czwartego piętra...

— A co on zrobił?

— Zabił się. Rzucił się z czwartego piętra dziś rano.

— Boże!—krzyknęła mniszka.

— Nie mógł widocznie wytrzymać z tą żoną gałganicą, która go kompromitowała, okradała. Trzy razy uciekała i trzy razy wróciła. Za trzecim razem nie był w stanie wyżyć z nią więcej nad dwa miesiące. Cierpiał tysiączne męki, wreszcie wyskoczył oknem.

— Zabił się?

— Zdaje się, że natychmiast, ale spostrzeżono dopiero po dwóch godzinach. Żona spała mocno i nie wie o niczem. Jeszcze tam leży w ogrodzie, ale nie miałam odwagi podejść do okna.

— Wszyscy w tym domu, wszyscy! I ja też wróciłam ze złą nowiną.

— Z jaką? co się stało?

— Doniesiono mi w urzędzie, że pensję moją uszczuplono przez oszczędność, z czterdziestu jeden lirów, na dwadzieście siedem miesięcznie.

— Dwadzieścia siedem?

— Dwadzieścia pięć i pół po potrąceniu.

— Ależ to jałmużna, siostro!

— Jestem żebraczką.

Spojrzały po sobie z ogromną boleścią.

IV

Zanim weszła w ulicę Portową, kobieta zatrzymała się przez chwilę, jakby się wahała pójść dalej. Była godzina dziewiąta wieczór, a ulica zwykle tłumna, była dziwnie pusta, gaz zaledwie trochę rozświecił ciemności, a w ciemności widniały stopy kamieni, wapna i kałuże z błota, na rozdeptanych i rozmoczonych chodnikach. Kobieta ostrożnie, podwinawszy suknię, stawiała niepewne kroki, wreszcie zapuściła się w sąsiednią ulicę, gdzie widniał napis: Schronienie. Niewielkie drzwi były otwarte, a w bramie obraz Niepokalanego Poczęcia [oświetlony] małą lampką widniał z daleka. Kobieta zatrzymała się przed obrazem, zrobiła znak krzyża i zaczęła [powoli] wchodzić na schody, które były brudne, wilgotne i bez poręczy. Gdy wchodziła, wyprzedził ją młody, wysoki mężczyzna, i przyglądając się [bacznie] w ciemności, poznał ją widocznie, bo powiedział [głośno]: Dobry wieczór.

— Dobry wieczór—odpowiedziała słabym głosem kobieta.

Mężczyzna minął ją, zostawiając po sobie przykry zapach złego cygara i zniknął za drzwiami pierwszego piętra. Kobieta weszła tam również, ale dopiero po chwili, najokropniej wyczerpana. Zbliżyła się do stołu, przy którym w mdłym świetelku naftowem, siedziała stara kobieta i robiła pończochę. Usłyszawszy szelest, podniosła nieco głowę i spojrzała na wchodzącą. Dobry wieczór. Dobry wieczór, — odpowiedziała obojętnie.

— Czy zatrzymaliście łóżko dla mnie?—zapytała z nieśmiałością.

— Jest łóżek ile chcecie, — mruknęła Carminella — a przynieśliście pięć soldów?—zapytała cierpko.

— Tak pani, przyniosłam, — i zaczęła wyciągać z kieszeni pojedyncze monety chudą ręką, pełną niebieskich żył na zniekształconych palcach.

Domowa przeliczyła pieniądze, schowała do kieszeni i rzekła, jakby tłumacząc się:

— Niepodobna kredytować, tu się orze w dzień i noc i co się ma z tego. Prawie nic; gdybyśmy jeszcze dawali na kredyt, zginęlibyśmy.

— Macie słuszość. Czy ludzi dziś dużo?

— Tak sobie. Ale za dużo tych domów noclegowych. Są po cztery, po trzy soldy. Maluczko, a będę za dwa soldy i nie będą się wstydzić kłaść kobiety razem z mężczyznami.

— O Jezul

— Tu, jesteście w pokoju same kobiety. Czybyście mogli spać w jednym pokoju z mężczyzną?

— Woląabym spać na ulicy, na kamieniach,—
wykrzyknęła przybyła z okrzykiem przerażenia w głosie.

— Dlatego płaciecie pięć soldów.—Można pójść,
jest wolny trzeci pokój, najlepszy.

— A kto tam jest dzisiaj?

— Jest tam Fortunata, wiecie ta dziobata, która
chodzi na posługi; pozwoliłam jej dziś wziąć do
łóżka dwie córeczki. Cóż robić, trzeba być dobro-
czynną, ścisną się trochę, wzięłam od niej tylko pięć
soldów, mam za czułe serce. Na drugim łóżku jest
nowa, nie znam jej, nazywa się Magdalena, musi być
chora, bo kaszle bardzo. Miejmy nadzieję, że Wam
da spać. Pozostałe dwa łóżka są nie zajęte.

— Dobranoc, idę się położyć.

— Dobranoc. Ja muszę siedzieć tutaj. Robię
dzień z nocy, a z dnia noc. Będę spała jutro, czego
nie lubię, i co mi nie służy.

— Nie możecie spać?

— Żartujecie chyba. Gdybym nie pilnowała, co-
by było. Tyle się przytrafić może, Bóg wie co,—rze-
kła tajemniczo.

— To prawda, dobranoc, dobranoc,—ale nie
odchodziła jeszcze.

— Czy zostawicie mi solda na kawę?—zapytała
domowa.

Zawahała się trochę.

— Naprawdę... nie mogę...

— A cóż, chcecie zdechnąć? Lepsza kawa niż chleb, dla żołądka.

Kobieta spuściła głowę, nie bardzo przekonana, poszukała w kieszeni i wyciągnęła solda.

Domowa obejrzała go dokładnie i wpuściła do kieszeni z zadowoleniem.

— Tyle monet fałszywych krąży...—dodała. Jutro rano dostaniecie filiżankę kawy, która wam dobrze zrobi. Dobranoc.

Ażeby się dostać do pokoi kobiecych, biedne kobiety pozbawione dachu i opieki, zmuszone korzystać z przytułku brudnego i źle renomowanego, musiały przejść przez dwa pokoje, w których sypiali mężczyźni. Te dwa pokoje miały tylko po cztery łóżka każdy i po krzesło przy łóżku, nic więcej. Słabe światło w każdym pokoju oświetlało śpiących tam po dniu włóczęgi, lub pracy, głodu, a może i zbrodni. Leżeli jak trupy na twardych łóżach, okryci brudnymi kołdrami, pod którymi spało już poprzednio tysiące ludzi, i tylko oddech, chrapanie przerywały ciszę. W powietrzu był zaduch od brudnych ciał, złej tabaki, cuchnących wyziewów i, mimo mroźnej nocy, powietrze ciężkie i niezdrowe.

Kobieta, zmuszona przejść przez dwa pokoje, w których leżało ośmiu mężczyzn, chcąc się dostać do przeznaczonego dla siebie łóżka, jak gdyby odzyskała siły, przebiegła szybko, nie patrząc ni w lewo, ni w prawo. A jakkolwiek starała się przejść cichutko,

by nie obudzić nikogo, poruszyły się niektóre postacie na łóżkach, przyspieszyła kroku i znikła w trzecim pokoju zadyszana.

Ów pokój nie różnił się niczem od poprzednich dwóch, tylko tyle, że nad łózkami wisiały na szpilkach święte obrazki. Na jednym łóżku spoczywała Fortunata i trzymała w objęciach córeczkę trzyletnią, starsza, pięcioletnia, leżała z głową w nogach łóżka. Zbite, ściśnięte, nie mogły poruszyć ni ręką ni nogą, by nie wypaść, lub nie wyrzucić jedna drugiej. Biedna matka, po całodzienniej pracy, jęczała nie mogąc wyciągnąć członków, a jedna z małych pytała o coś przez sen i skarżyła się, że nie może się poruszyć.— Na drugim łóżku widać było inną postać kobiecą, ale ta nie leżała wyciągnięta. Oparła poduszkę o ścianę i przyciskała do niej głowę i ramiona. Nie spała, siedziała z oczami szeroko rozwartemi.

Kobieta zbliżyła się do trzeciego łóżka, które było nie zajęte i pocichutku zaczęła się rozbierać, składając, rzeczy na krześle. W chwili, gdy skończyła pacierz z sąsiedniego posłania rozległ się suchy bolesny kaszel, przerywany świszczącym oddechem i jękiem: Matko Boska. Kaszel i jęki zbudziły posługaczkę i dzieci, i zaczęły się kłótnie o miejsce. Cicho, cicho,—szepnęła matka, przytulając je do siebie i starając uspokoić.

Młoda kobieta kaszlała wciąż i dyszała ciężko, a gdy długi atak minął, wybuchnęła rozpaczliwym krzykiem.

— Co Wam jest, czemu tak się męczycie, — zapytała z łóżka ostatnio przybyła.

— Ach, jestem chora, ciężko chora, — jęczała dziewczyna, bijąc głową o poduszkę.

— Uspokójcie się, rzucać się to jeszcze gorzej.

— Na co to, na co? Nie mogę już zupełnie spać po nocach, kładę się, ale ledwie rozgrzeję się w łóżku, przychodzi ten straszny kaszel i spać mi nie daje zupełnie.

Mówiła cichutko, bo brakło jej głosu i lękała się zbudzić biedną matkę.

— Czy dawno macie taki kaszel?

— Przeszło od pół roku. Życ mi nie daje. Wiem, że umrę przez niego.

— Miejmy nadzieję, że nie, — dodała nieznajoma.

— A czy nie byłoby lepiej, żebym umarła? Po co się tłuc dłużej na tym świecie. Co tu po mnie.

— Wola Boska, Wola Boska!

Chora pochyliła się, by zobaczyć mówiącą, ale widziała tylko pół twarzy, pooranej zmarszczkami i żółtej, reszta tonęła w czarnej chustce, którą głowa była obwiązana, może dla uchronienia się przed zimnem.

— Akurat mną by się Pan Bóg miał zajmować, czemu ja jestem?

Nowy atak kaszlu suchego, rozdzierającego piersi przerwał rozmowę, a trwał dłużej tym razem. Nieznajoma przysłuchiwała się i patrzyła nie mówiąc nic.

— Mamo, mamo, ten kaszel mi spać nie daje,—
zapłakała jedna z małych dziewczynek.

— Schowaj się pod kołdrę, zatkaj uszy to zaśniesz,—szepnęła matka na wpół śpiąca.

— Słyszę go, słyszę ciągle. Powiedz jej, żeby przestała, żeby dała spać ludziom,—krzyczało dziecko.

— Masz słuszość, kochanie, — odpowiedziała chora. Nawet tej biednej dziecinie sen odbieram, co za los, co za męka! — i bolesne westchnienie wyrwało jej się z piersi.

— Czy nie możesz przestać, — zapytała mała. Czemu nie idziesz do lekarza? Dałby ci lekarstwo i byłabyś zdrowa.

— Chodziłam do lekarza, gdy miałam pieniądze, brałam lekarstwo i nic mi nie pomogło.

— A czemu nie brałaś dłużej.

— Bo nie miałam pieniędzy.

— To i ty nie masz pieniędzy, tak, jak my.

— Niemam, bo by mnie tu nie było.—Westchnęła boleśnie; nieznajoma, i dziewczynka, westchnęły również i zamilkły. Każda starała się zasnąć. Mała zasnęła pierwsza, gdyż wkrótce słychać było jej oddech lekki i miarowy. Chora zdrzemnęła się z głową opartą o ścianę, mówił o tem oddech krótki i chrapliwy. Nieznajoma oddychała cicho i o ile zasnęła, to było sen lekki starców i dzieci.

Cisza w izbie panowała nieprzerwana przez jakieś dobre dwie godziny. Z izb sąsiednich dolatywały jakieś szmery, skrzypienie łóżek przy poruszaniu się ciężkich ciał, jakieś grube wyrazy, wypowiedziane przez sen, jakiś but spadł z krzesła i za nim przekleństwo, ale przez drzwi zamknięte słabo dolatywało. Słysząc też było jakieś kroki na ulicy i jakieś głosy pijackie, jakieś świsty, nawołujących się opryszków, ale sen błogosławiony, ten dobrodziej istoty najnie-szczęśliwszej, najbardziej opuszczonej, rozłoczył swoje skrzydła opiekuńcze nad wszystkimi tymi nędzaczami.

Nagle drzwi, łączące dwa pokoje, otwarto się, ktoś stanął w progu.

— Kto tam—spytała chora, która miała sen bardzo lekki.

— Cicho, to ja, gospodyni...—i bardzo zmieszana nachyliła się nad łóżkiem.

— Co się stało, co się stało?

— Nie lękajcie się, nic się nie stało.

— Co zaszło? zapytała matka, tuląc młodsze dziecko, starsze już się zerwało z łóżka i rozglądało się dokoła.

— Stało się... przykra rzecz się stała.

— Co takiego, co takiego?

Widząc, że wszystkie się zbudziły, wyrzekła straszliwe słowa.

— Policja.

Wszystkie trzy zaczęły krzyczeć i płakać.

— Czemu krzyczycie, czemu płaczecie, co Wam się stanie, co policja może Wam złego zrobić?

Nieznajoma nie wyrzekła ani słowa, ale widać było, że jej lęk był większy niż tamtych.

— Jeżeliście nic złego nie zrobiły, to policja Was zostawi w spokoju—krzyczała gospodyni, chcąc opanować swój własny niepokój.

— A pocóż przychodzi, jeżeliśmy nie zrobiły nic złego?

— Przychodzi, przychodzi, bo musi... rewizje takie odbywają się często...

— Tak, jeżeli się chce kogoś aresztować.

— Nie zaaresztują nikogo, uspokójcie się. Tu zbójcy i złodzieje nie śpią.—Ale po głosie jej znać było, że nie była pewna tego, co mówi.

— Czy możemy przynajmniej wstać i ubrać się?

— Niema czasu, przodownik już jest w sąsiednim pokoju.

— Więc w łóżku nas mają zobaczyć, o Boże, o Boże,—płakała matka.

— Mamo, ja się boję policji.

— Tego nam jeszcze brak, żeby dzieci zaczęły płakać.

Wtem dały się słyszeć kroki w izbie sąsiedniej. Nastąpiło wśród kobiet głębokie milczenie. Gospodyni zapaliła małą naftową lampkę i cała drżąc, nadstawiła ucho, nie śmiejąc zrobić kroku. Wszystkie były jak

skamieniałe, a dzieci schowały główki na piersi matki zamykając oczy.

Drzwi znowu się otwarły i wszedł przodownik z dwoma towarzyszami. Nie kłaniając się nikomu zbliżył się do łóżka matki.

— Co robicie tutaj? — zapytał twardym głosem.

— Śpię, łaskawy panie.

— Nie macie domu własnego?

— Nie mam środków, jestem biedna...

— Jesteś włóczęgą, co? — dodał z pogardą.

— Nie panie, pracuję, jestem służącą...

— Gdzie służysz?

— U pana Searano, przy ulicy Św. Jakóba, można sprawdzić.

— Jak się nazywasz?

— Fortunata Santaniello, do usług.

— Czy to twoje dzieci?

— Tak, panie.

— Czy nie mają ojca, co?

— Jak pan może przypuszczać coś podobnego, — rzekła obrażona. — Mąż mój jest w szpitalu, chory...

Nie słuchając odpowiedzi wykręcił się na pięcie i zwrócił do chorej.

— A ty, co tu robisz?

— Odpoczywam panie.

— Nie masz kąta własnego?

— Nie mam?

— Z czego żyjesz?

— Łamię gazety w drukarni.

— Eh, patrzcie, a wiele zarabiasz?

— Piętnaście soldów.

— Jak się nazywasz?

— Magdalena Sganel, do usług.

— Patrzcie — rzekł szyderczo, — łamie pismo. Mnie się zdaje, że robisz coś innego.

— Nie panie, nie! — krzyknęła z rozpaczą dziewczyna. — Ja nie jestem tem, co pan myśli. Niech pan się pójdzie jutro dowiedzieć w Dzienniku Neapolitańskim. Magdalena, ta chora, wszyscy mnie znają. Na miłość boską, tego jeszcze brakowało!

— No, nie obrażaj się, nie obrażaj, — rzekł brutalnie. — Tu jesteście same anioły, same uczciwe kobiety...

Znów się wykręcił na pięcie, widocznie pilno mu było wyjść z tej smrodliwej izby.

— Czy zapisujecie zawsze nazwiska przybyłych na nocleg? — zwrócił się do gospodyni.

— Naturalnie, panie, zaraz pytam o nazwisko.

— Powinniście mieć książkę, spis.

— Kiedy nie umiem ani czytać, ani pisać.

— Tu musi być zaprowadzona książka, jak nie, zapłacicie karę. A kogo tam macie więcej dzisiaj?

— Tę oto kobietę, — rzekła pokazując trzecie łóżko.

— Oh, a wy co tu robicie?

— Przyszłam przenocować, — odrzekła słabym, drżącym głosem kobieta.

— Przychodzicie tu często?

— Od jakiegoś czasu. Nie mam kąta.

— Jesteście włóczęgą?

— O nie, nie.

— A z czego żyjecie?

— Mam pensyjke.

— Wiele?

— Siedemdziesiąt soldów dziennie.

— Od kogo ją pobieracie?

— Od Rządu,—rzekła kobieta i odwróciła głowę.

Policjant spojrzał pytająco na gospodynię. Ośmielona, szepnęła mu coś do ucha. Zwrócił się znów, ale ciszej do kobiety.

— Czy zechcecie mi powiedzieć nazwisko?—

Milczała, może nie dosłyszała.

— Chciałbym wiedzieć jakie nazwisko.— Nie odpowiedziała, może się wahała?

— Muszę się dowiedzieć, jakie Wasze nazwisko,—powtórzył po raz trzeci, nie bez gniewu.

— Nazywam się... nazywam Luiza Bevilacqua—
odpowiedziała wreszcie cichutko, jakby szeptem.

— Nie macie żadnego przybranego nazwiska?

— Nie, żadnego.

— Nigdy nie nosiliście innego?

Zawahała się jeszcze, potem z wielkiem westchnieniem rzekła.

— Nazywam się Luiza Bevilacqua i nigdy nie miałam innego nazwiska.

Dzwony wielkanocne rozbrzmiewały wesoło w ciepłym, kwietniowym powietrzu. Ludzie wchodzili i wychodzili z kościołów, gdzie kończyły się pienia mszy uroczystej, a rozpoczynały kazania i cicha msza. Pod drzwiami kościołów sprzedawano kwiaty i obrazki święte.

Ruch był ogromny na ulicach pełnych słońca, na chodnikach młodzież spotykała się wesoło, śródkiem pędziły powozy i karety. Wszystko miało wygląd radosny, świąteczny.

Przed ratuszem zebrana była grupka ludzi, której przewodzili panowie w surdutach z kokardkami w kłapie, a na placu czekały tłumy biedaków źle ubranych, bosych lub obutych w nie swoje buty na grubych gwoździach. Wszystko to stało w milczącym wyczekiwaniu, wpatrzone w drzwi ratusza. Gdy punkt o dwunastej godzinie huknął strzał armatni, zrobił się ruch w obu grupach. Panowie w surdutach ustawili się w dwa szeregi przed wejściem do gmachu w otoczeniu policji i karabinierów; z drugiej strony tłum zaczął się przybliżać. Każdy miał w rękę kartkę z napisem; Obiad dla biednych, miejsce, godzina i pieczęć miasta, gdyż magistrat, z powodu święta wydawał obiad dla trzystu żebraków w połowie mężczyzn, w połowie kobiet. Panowie w surdutach odbierali te kartki po sprawdzeniu przy wejściu, a policja przepuszczała ludzi kolejno i po jednym. Dziwny widok sprawiała ta nędza, krocząca przez dwa szeregi strojnych panów. Prawie wszyscy

nędzarze przechodząc spuszczaali oczy, niejednen potknął się. Jakaś staruszka, chuda, żółta z głową owiniętą w czarną chustkę ledwie, ledwie, że nie upadła. Jakiś chłopak, idjota, kulawy, zgubił swój bilet obiadowy, odepchnięto go łagodnie, ale ze stanowczością. Biedak płakał jak dziecko, z twarzą uśmiechniętą. Nadaremnie jakiś towarzysz zaświadczył, że widział u niego ten bilet, który musiał mu ktoś zabrać, widząc jego głupkowatość. Kobieta jakaś chciała wejść z dwojgiem dzieci i płacząc zaklinała, że zachowają się spokojnie, musiała je zostawić przed drzwiami i weszła cała drżąca. Faktów różnych, nieprzewidzianych, było bez końca.

Gdy wszystkie trzysta osób znalazły się w dużej sali ratuszowej, była godzina dziesiąta minut czterdzieści. Stoły były ustawione w dwa szeregi, pozostawiając wolne przejście na środku. Przy jednym stole usadowiono kobiety, przy drugim mężczyzn; stoły nakryte były białym obrusem, cynowe łyżki i widelce nowiutkie błyszcząły jak srebro, noże były w oprawie z czarnej kości. Przy każdym nakryciu leżał duży kawałek świeżego, białego chleba i stała litrowa butelka czerwonego wina. W rogach pokoju były małe stoły, na których służba miała rozdzielać potrawy i krajać chleby. Całość sprawiała miłe wrażenie.

Panowie i panie strojne i też odznaczone kokardkami, zajęli się rozmieszczaniem gości, co było zadaniem niełatwym. Wreszcie po długiem i niemiłym

oczekiwaniu, zaczęły nadchodzić półmiski. Na pierwsze danie był makaron zapiekany w sosie mięsny, różowym, z serem i dróbkami. Rozpoczęło się rozstawianie talerzy prędko i cicho przez lokajów, pod nadzorem czterech panów, panie zaś chodziły koło stołów, nakładały serwetki, podawały chleb i nalewały wino. Biedacy tak byli onieśmieleni, że nie podnosili [głowy i oczu od talerza. Jedli chciwie, żarłocznie, jak ludzie wygłodzeni i odwykli od przyzwoitego pożywienia.

Jedna z pań, chodząc około stołu, zwróciła się do starszej kobiety i zapytała uprzejmie.

— Czyście zadowoleni z waszej Wielkiej Nocy?

— Tak, pani.

Następnie zwróciła się do innej kobiety:

— Czem się zajmujecie zwykle?

— Byłam kiedyś służącą, przyjechałam z prowincji przed laty...

— A obecnie?

— Odprawiono mnie już dawno...

— A dlaczego?

— Dlatego, że byłam chora, miałam chorobę serca i nie mogłam służyć...

— Trwa jeszcze ta choroba?

— Tak, pani.

Po makaronie, zjedzonym doszczętnie i po sprzątnięciu naczyń i talerzy, podano drugą potrawę. Było to mięso po neapolitańsku, potrawka w gęstym sosie z cebuli i pomidorów, do tego kartofle, również

w sosie. Rzucili się na mięso z taką chciwością, że nie wszyscy użyli noża i widelca, niektórzy odkrajali część, a resztę schowali, może dla kogoś, może na jutro.

Młoda pani zbliżyła się do zgarbionej staruszki, o twarzy pooranej zmarszczkami, lat około siedemdziesięciu pięciu. Zębów nie miała wcale, nos starczy spadał na wargi, szyja okręcona białą chustką, spiętą na szpilkę, na głowie czarna opaska pokrywająca nawet uszy, zawiązana była pod brodą.

— Zadowoleni jesteście z Wielkiejnocy? — zapytała, nie wiedząc, jakie pytanie zadać. Staruszka podniosła twarz pooraną na piękną panią, spojrzała i nic nie odpowiedziała.

— Nie zadowoleni jesteście z tego obiadu?

— Owszem, pani.

— Teraz przyjdzie mięso, pewnie nie jedliście go już oddawna?

— O! dawno, bardzo dawno.

— Czy nie macie nikogo z rodziny?

— Nie mam zupełnie nikogo!

— A co się stało z waszą rodziną? Czy nikt nie pozostał?

— Pewnie umarli, albo powyjeżdżali, nie wiem — rzekła ze spuszczonej oczami.

— I tacyście samotni na świecie? Jakże żyjecie?

— Dostaję siedemnaście soldów dziennie.

— Kto wam to daje, kto? — zapytała młoda pani z ciekawością.

— Rząd.

— Tak? A dlaczego?

— Dlatego, że byłam mniszką,— rzekła drżącym głosem.

— Mniszką, mniszką, byliście mniszką? A gdzie, w jakim klasztorze?

— W klasztorze Żywcem pogrzebanych.

— Pamiętam, pamiętam, byłam dzieckiem. Ile to lat temu!

— Może ze dwadzieścia, nie pamiętam.

— Dają wam siedemnaście soldów dziennie, cóż wy możecie mieć za siedemnaście soldów? Musicie żebrać?

— Nie, ja nie żebrzę.

— Dlaczego?

— Bo się wstydę.

— Więc ktoś wam dopomaga zatem?

— Nie pani, nikt zupełnie. Mówię, że mam pensję rządową i nikt mi nie pomaga.

— Biedna, biedna. Pewnie byliście z dobrego towarzystwa.

Staruszka spuściła głowę.

— Tak, byłam z dobrego towarzystwa.

— A jak się nazywacie?

— Nazywam się Luisa Bevilacqua.

Nastąpiła cisza.

— Zjedzcie mięso, — rzekła młoda pani.

Drżącemi rękami wzięła nóż i widelec i zabrała się do krajania mięsa; młoda przyglądała jej się z zajęciem i współczuciem. Potem znów zapytała:

— Powiedzcie mi, jakie było wasze imię zakonne? Staruszka przestała krajać i zamysliła się.

— Możecie zapomnieli waszego imienia zakonnego po tylu latach? To możliwe.

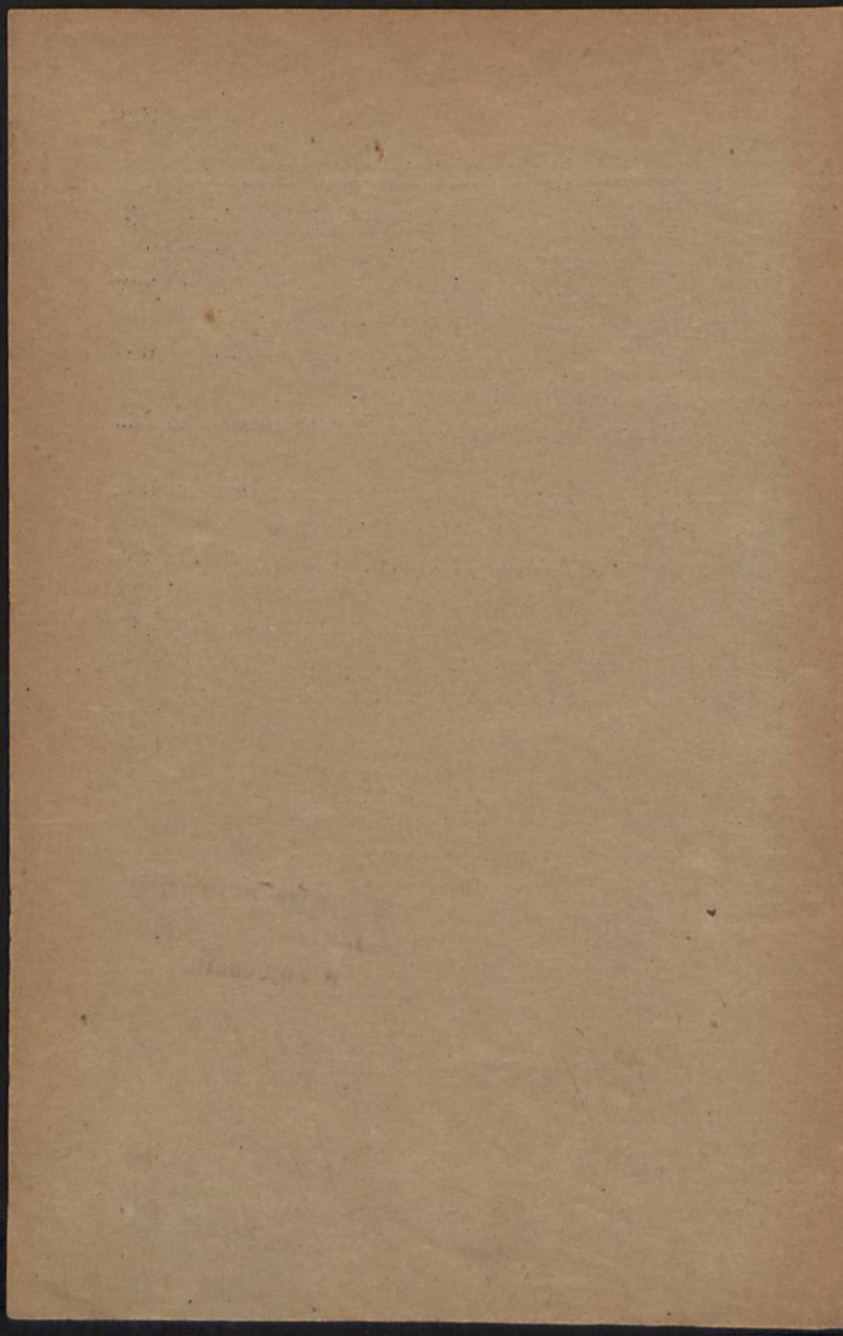
— Staruszka otworzyła wreszcie usta i rzekła cichutko:

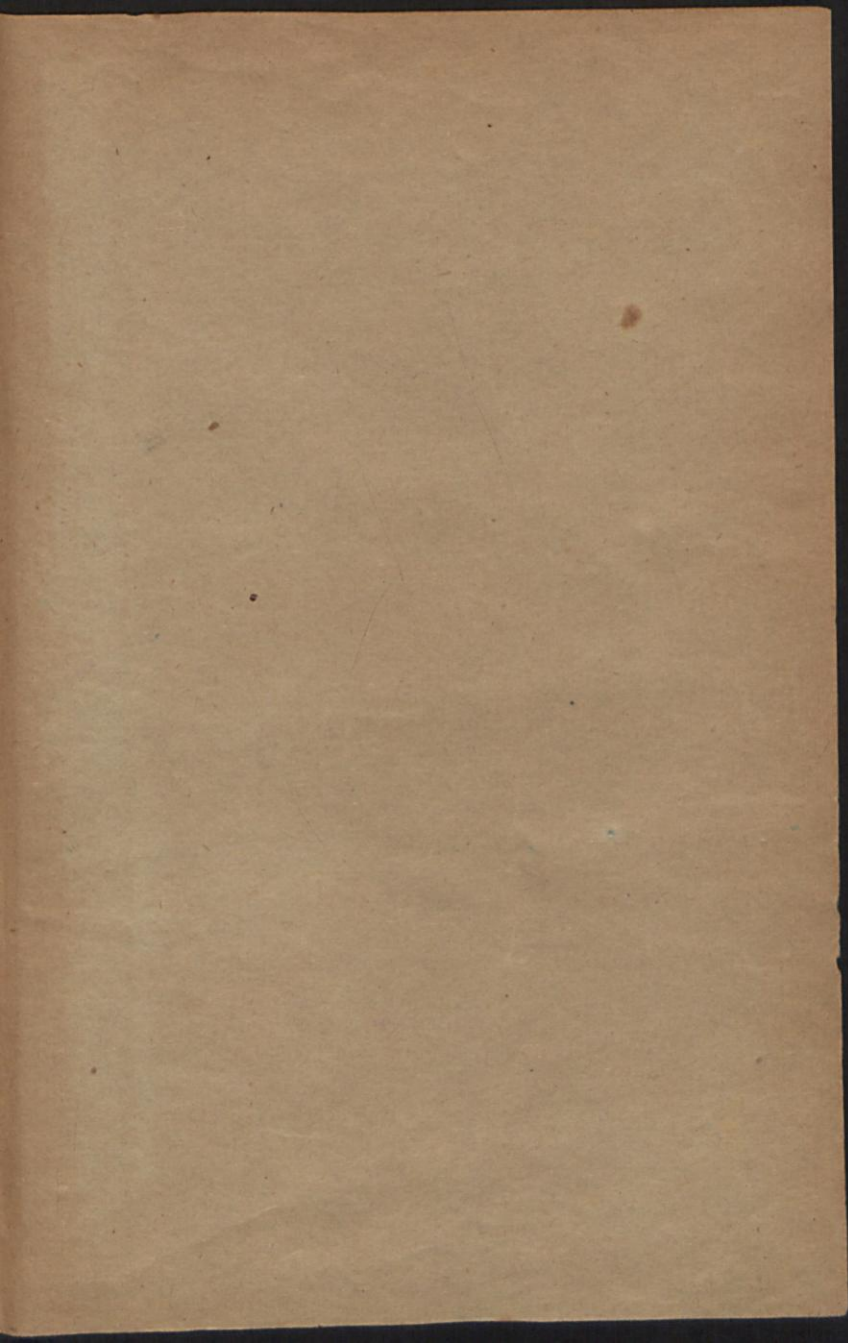
— Nazywałam się,... nazywałam... siostra Joanna od Krzyża.

Kiedy wymawiała swe dawne imię, które z trudem przeszło jej przez wargi, z oczu zamglonych spadły duże dwie łzy na talerz z jedzeniem. Opuściła głowę na piersi, przestała jeść i łzy gorzkie, bolesne potoczyły się wraz z jej imieniem.

K O N I E C

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. JANA ...IEGO
w Zamosciu.





1410



Księgozbiór BP



10025715

Zamosc ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna